NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | Kraków, 26 stycznia 1918 | Nr. 4.

Powrót delegatów do Brześcia.



Przyjazd rosyjskich delegatów do Brześcia i powitanie przez przedstawicieli mocarstw centralnych. W środku komisarz dla spraw zagranicznych, Trocki (X), na lewo Kamieniew i Joffe.

Treść numeru: Z pobytu Rady Regencyjnej w Wiedniu. — Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem i t. d.

OD ADMINISTRACYI.

Wobec coraz częstszych w ostatnich czasach reklamacyi, jakie otrzymujemy od P. T. Prenumeratorów z powodu zaginionych numerów naszego pisma, z całą stanowczością zaznaczamy, że

„Nowości Illustrowane“ są wysyłane regularnie

poszczególne egzemplarze **giną zaś w tajemniczy sposób w drodze,** nieraz całemi paczkami. **Wydawnictwo nasze nie ponosi więc w tym wypadku żadnej winy,** a narażone jest z tego powodu na olbrzymie straty. Jest to klęska, wobec której jesteśmy bezsilni. Prosimy tedy naszych P. T. Prenumeratorów, aby byli dla nas wyrozumiali i w razie nieregularnego odbierania pisma zwracali się z energicznemi reklamacyami do właściwych urzędów.

Powrót delegatów do Brześcia.

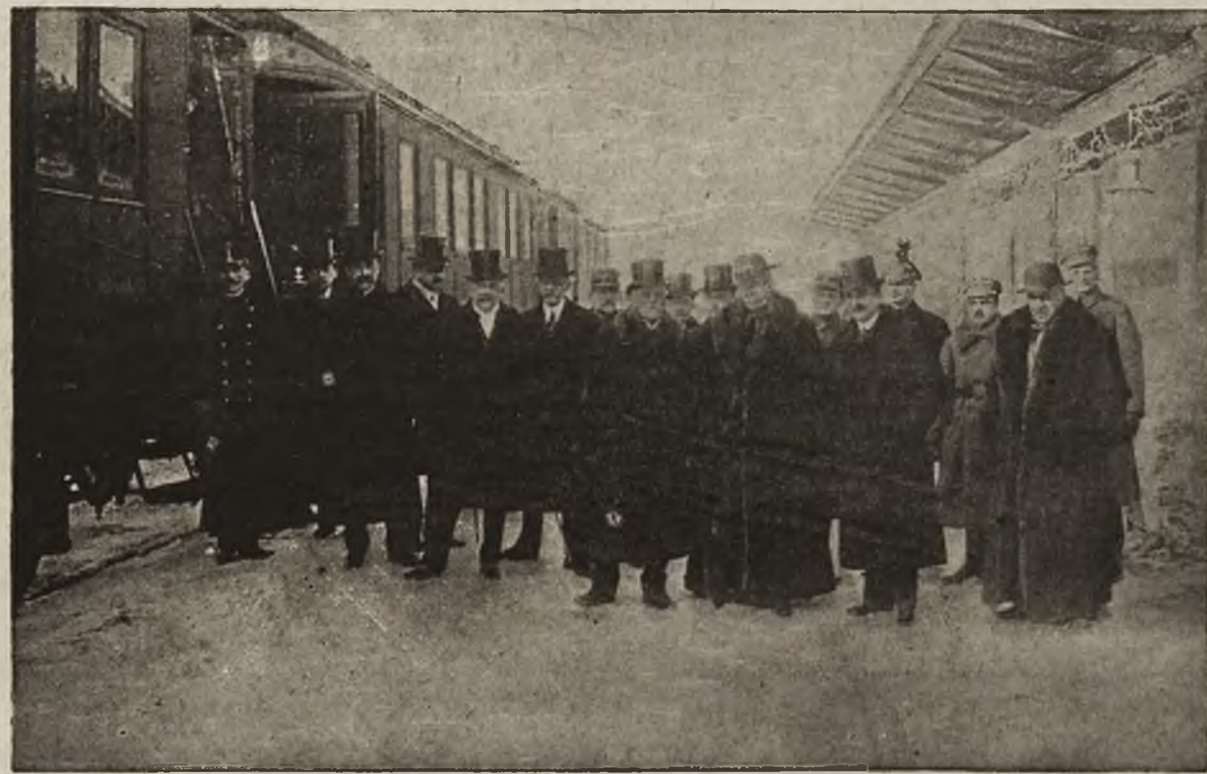
Toczące się w Brześciu Litewskim rokowania pokojowe nie idą tak gładko, jak się spodziewano pierwotnie. Zerwane układy podjęto wprawdzie na nowo, przyczem wziął w nich udział ze strony rosyjskiej komisarz ludowy do spraw zagranicznych Trocki, ale wyłoniły się nowe trudności. Najdrażliwszym szkopułem okazała się formuła samostanowienia narodów, którą w zasadzie przyjęty obie strony.

Na tym punkcie przyszło też pomiędzy delegatami niemieckimi, a kierownikiem delegacyi rosyjskiej, Trockim kilkakrotnie do scysyi...

Obecnie w rokowaniach brzeskich nastąpiła przerwa, gdyż p. Trocki pospieszył do Petersburga na otwarcie konstytuanty, a wobec jej rozbicia i zaburzeń w Rosyi, będzie zmuszony z pewnością dłużej tam pozostać. Obie strony nie tracą jednak nadziei, że przyjdzie do porozumienia, a nadzieje te potwierdza fakt, że delegaci austryaccy szczerze dążą do pokoju na zasadzie formuły „bez aneksyi i odszkodowań“... Według zapewnień z oficyalnych kół austryackich doszło też do zupełnego porozumienia z delegatami republiki ukraińskiej, biorącymi, jak wiadomo, oficyalnie udział w rokowaniach brzeskich... Jest to niewątpliwie zdarzenie wielkiej wagi, które zwłaszcza nam, Polakom, powinno nasunąć poważne refleksye... Bo chyba Polska, której niepodległość tak uroczyście proklamowano, ma nie mniejsze prawo, niż Ukraina, do udziału w rokowaniach brzeskich. Ale dotychczas radzą tam o losach Polski bez wysłuchania głosu jej przedstawicieli — radzą o nas — bez nas...

Z pobytu Rady regencyjnej w Wiedniu.

W poprzednim numerze pisaliśmy o pobycie Rady Regencyjnej w Wiedniu i zamieściliśmy przemówienia wygłoszone na oficyalnem przyjęciu u cesarza Karola. O szczegółach tej wizyty i jej wynikach politycznych udzielił prasie ciekawych informacyi premier Kucharzewski, który towarzyszył regentom w podróży.



Z pobytu Rady regencyjnej w Wiedniu: Członkowie polskiej Rady regencyjnej wraz z swym orszakiem po audyencyi u cesarza Karola w Luxenburgu. (Woj. kwat. pras.)

Wszystkie czynniki urzędowe monarchii — zaznaczył p. Kucharzewski — dały wyraz swej czci i sympatyi Radzie Regencyjnej, jako przedstawicielce udzielnego państwa polskiego. Również fakt, że goście warszawscy zamieszkali w apartamentach Burgu symbolizuje niejako stosunek monarchii habsburskiej do państwa polskiego. Naród polski zadzierzgnął w ciągu historyi tyle serdecznych węzłów z dynastyą habsburską, że przedstawiciele obu państw mieli we wspólnem swem dążeniu do nawiązania ściślejszych stosunków osobiste i urzędowe zadanie ułatwione. Ułatwił je przedewszystkiem cesarz Ka-



Powrót delegatów do Brześcia: Delegaci ukraińscy w towarzystwie niemieckich oficerów, po wyjściu z sali obrad (Fot. Bufa).

rol i jego dostojna małżonka. Dostojna para cesarska ujęła czarem swej osobistości, zrozumieniem sprawy polskiej i gorącą sympatyą dla narodu polskiego gości polskich. Osobne podziękowanie należy się prasie wiedeńskiej, za jej życzliwe i uprzejme przywitanie gości warszawskich.

Przechodząc do pozytywnych wyników podróży do Wiednia, zaznaczył dr. Kucharzewski, że konferencye z miarodajnymi czynnikami przyczyniły się do wyjaśnienia całego szeregu spraw. Obu rządom sprzymierzonym przedłożył rząd polski projekt organizacyi wojska polskiego. Istnieje zamiar życzliwego zbadania projektu. W ogólnych zarysach omawiano sprawę przejęcia poszczególnych gałęzi administracyi kraju przez władze polskie.

W sprawie przedstawicielstwa rządu polskiego w stolicach państw sprzymierzonych, tudzież placówek w krajach neutralnych zachodzi uzasadniona nadzieja, że sprawa ta mimo trudności formalnych będzie załatwiona drogą częściowego uwzględnienia postulatów polskich.

Z innych spraw poruszono kwestyę traktowania sprawy jeńców polskich i osiągnięto przyrzeczenie, że życzenia polskie w tej sprawie będą uwzględnione.



Powrót delegatów do Brześcia: Członkowie austryacko-węgierskiej delegacyi pokojowej w Brześciu Litewskim. (Woj. kwat. pras.)

Zgon dyrektora Ossolineum.

Na progu nowego życia Polski grom po gromie uderza w naukę i kulturę naszą. Nie przebrzmiał jeszcze żałobny pogłos z powodu zgonu Stanisława Tarnowskiego, aliści ze Lwowa nadchodzi smutna wiadomość o śmierci jednego z filarów Akademii Umiejętności, znakomitego i zasłużonego historyka, Wojciecha Kętrzyńskiego, dyrektora Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. Strata tem boleśniejsza, że w wielkiej historycznej chwili, gdy ważą się losy ziem polskich, odchodzi jeden z najzatwardziałszych bojowników ideowych, uczony badacz, którego życie wypełniła praca nad odparciem błędnych uroszczeń niemieckich w dziedzinie dziejowej.





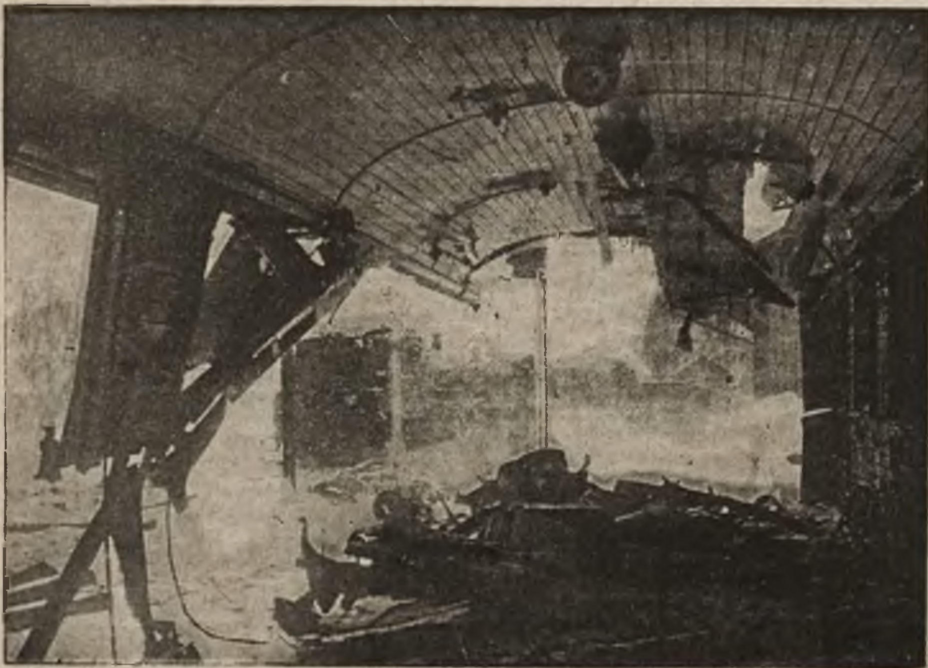
Idylla pokojowa na wschodnim froncie: (Woj. kwat. pras.)

Austryaccy i rosyjscy żołnierze zajęci handlem zamiennym w czasie zawieszenia broni. Austryaccy oficerowie robią zakupna u rosyjskich żołnierzy.

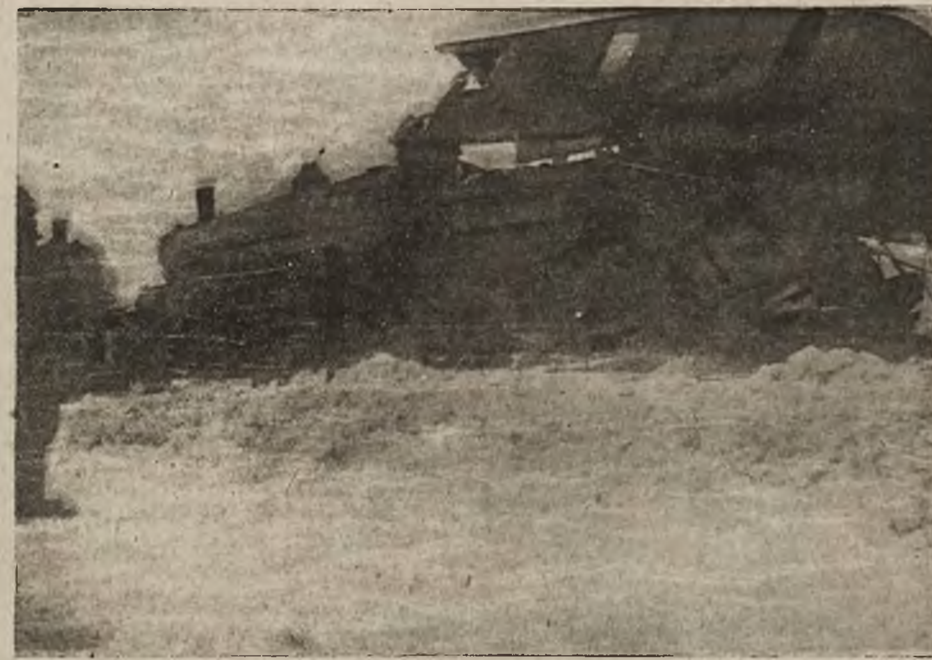


Powrót delegatów do Brześcia: Delegaci ukraińscy w rozmowie z oficerami niemieckimi przed dawnym pałacem gubernatorskim w Brześciu Litewskim. (Fot. Bufa)

Co najdziwniejsza, to fakt, że nad kolebką tego męża obce rozbrzmiewały dźwięki. Urodził się w Lecu, w Prusach Wschodnich, 11 lipca 1838 r., jako syn urzędnika, Wojciecha von Winklera. Ojciec odumarł go w ósmym roku życia. Matka była Niemką, a w domu posługiwano się wyłącznie niemieckim językiem, który był również wykładowym w miejscowej szkole miejskiej, gdzie Wojciech pierwsze pobierał nauki. Wyrastał więc w czasach i otoczeniu nie mających nic wspólnego z polszczyzną, nie znając nawet języka polskiego. Dopiero jako dorosły już młodzieniec dowiedział się, że właściwe nazwisko rodu jego jest Kętrzyński, a całe „winklerstwo“ jest niczem innem, jak tylko brutalnym zamachem na jego pochodzenie, język i tradycye. Młody akademik z całym zapałem zabiera się do nauki polskiego języka. Uwięziony w r. 1862, za walkę otwartą z germanizmem, skazany został po półtorarocznem śledztwie na rok fortecy. Karę odbył w twierdzy Kłodzku na Śląsku pruskim. Mury więzienne były też miejscem, gdzie skreślił pierwszy artykuł w języku polskim, zamieszczony w dniu 20 grudnia 1865 w feljetonie „Dziennika poznańskiego“. Było to sprawozdanie z dzieła Adlera p. t. „Studien zur Culturgeschichte Polens“, w którem zdruzgotał teoryę Niemca-aneksyonisty, utrzymującego, że Prusy Wschodnie były krajem odwiecznie niemieckim, jeszcze za Tacyta, przez Germanów zamieszkałym. Artykuł ów był niejako programowym dla późniejszej działalności naukowej przyszłego historyka, której głównem znamieniem miała być odporność wobec wszechniemieckich uroszczeń w dziedzinie dziejowej.



Wnętrze rozbitego wagonu.



Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem: Maszyna z wagonem towarowym (Fot. Hull)

Rozprawami swemi zasilał szereg czasopism polskich i obcych. Publikacye źródeł polskich zamieścił w tomach III IV. Monumentów Pol. hist. i Archiwum Komisyi historycznej. Ogromny rejestr jego prac historycznych świadczy o zasobie jego wiedzy, skupionym przeważnie na wiekach średnich, oraz o niestrudzonej pracowitości. Pisał po niemiecku i po polsku. Oto tytuły niektórych jego prac: „Die Lügner Ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven und Germanen“ (1868) „O Stanisławie Górskim, kanoniku płockim i jego dziełach“ (1871). „O Mazurach“ (1872) (Zasługą ogromną Kętrzyńskiego jest pierwsze poruszenie sprawy Mazurów pruskich) „O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich od czasów krzyżackich“ (1874) „Nazwy miejscowe polskie Prus zachodnich, wschodnich i Pomorza, wraz z przezwiskami niemieckiemi“ (1879) „O nieznanej epopei z XV w.“ (1887) „Das Culmer Land und die Südgrenze von Pomeranien“ (1886) „O granicach Polski w X w.“ (1892) „O rocznikach polskich“ (1896) „Przyczynki do historyi Piastowiczów i Polski piastowskiej“ (1898). „Najdawniejsze żywoty św. Wojciecha i ich autorowie“ (1898) „O Słowianach mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą i czeską granicą“ (1899).

Prace historyczne zwróciły uwagę na młodego badacza, którego zawezwano też do Lwowa w charakterze sekretarza oddziału naukowego Zakładu Ossolińskich. Odtąd pracował on nieprzerwanie w tej instytucyi, której kierownictwo po śmierci Augusta Bielowskiego w r. 1876 jemu powierzono.

Nauce polskiej powołanie Kętrzyńskiego na dyrektora Ossolineum wyszło na dobre. Zajęcia kierownika zakładu nietylko nie przeszkodziły mu w ulubionych badaniach, ale ułatwiły mu warsztat naukowy i dostęp do źródeł.

S. p. Kętrzyński otoczony był czcią i sympatyą powszechną. Szanowano znakomitego uczonego i gorącego Polaka, który zarazem był dobrym, uczynnym człowiekiem i nieocenionym przewodnikiem młodego zastępu uczonych.



Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem: Rozbite wagony (Fot. Hull)

Katastrofa kolejowa pod Rzeszowem.

W Trzcianie pod Rzeszowem wydarzyła się w tych dniach katastrofa kolejowa, której ofiarą padły 43 osoby: 16 zabitych i 27 rannych ciężej. Katastrofa zdarzyła się w okolicznościach następujących.

Na stacyi w Trzcianie nie otrzymano na czas zawiadomienia o wyjściu pociągu lwowskiego i skierowano go na tor, zajęty już przez drugi pociąg pospieszny, nadchohzący z przeciwnej strony. Wskutek tego pociąg pospieszny l. 9, zdążający od strony Lwowa, zderzył się w Trzcianie z pociągiem pospiesznym l. 10 zdążającym do Krakowa, a stojącym na stacyi. Na miejscu zderzenia spiętrzyły się rozbite lokomotywy i wozy, pod gruzami których leżeli zabici i ranni. Pociąg lwowski, który był w ruchu, ucierpiał znacznie więcej, albowiem rozbite w nim zostały cztery wozy. Natomiast w pociągu krakowskim uległ rozbiciu tylko jeden wóz służbowy i drugi wóz trzeciej klasy z żołnierzami.

Na miejsce katastrofy przybył zaraz pociąg ratunkowy z Rzeszowa. Rozpoczęto wydobywanie rannych i zabitych z pod wagonów. Rannym udzielano pomocy, zwłoki zabitych znoszono na jeden punkt, gdzie komisya sądowa rozpoznawała zmarłych, ustalała ich osobistości i spisywała nazwiska. Wiele osób było tak pogniecionych i pokaleczonych, że trudno było rozpoznać ich rysy. Z pośród ciężej rannych parę osób zmarło już po przybyciu ekspedycyi ratunkowej.

W Krakowie wiadomość o katastrofie wywołała wielkie wrażenie, zwłaszcza, że pierwsze pogłoski wyolbrzymiały jej rozmiary. Wiele osób obawiało się o losy swoich najbliższych, którzy wyjechali do Krakowa pociągiem pospiesznym l. 10. Nastrój stał się spokojniejszy, gdy później nadeszły wiadomości dokładniejsze i gdy zaczęli przybywać podróżni, jadący pociągami, które uległy katastrofie. Były między nimi osoby, które odniosły tylko lżejsze obrażenia.



Powrót delegatów do Brześcia: Uczestnicy konferencyi zwiedzają złomy betonowe, pozostałe z jednego z bastyonów, broniących Brześcia Litewskiego. (Fot. Bufa).



Zgon dyrektora Ossolineum: S. p. dr Wojciech Kętrzyński

Adam Wiaryga-Minieski

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

33

— Ach! To niczego nie dowodzi... Zapewniam panią, że to rdzenna Krakowianka z okolic Stradomia. Przypominam ją sobie. Przed wojną miała bardzo skromny sklepik z mydłem, naftą, zapałkami... Jeszcze wtedy nie nosiła brylantów w uszach i nie chodziła do kawiarni... Obecnie prawdopodobnie nie sprzedaje ani mydła, ani nafty, ani zapałek, ale, jak pani widzi, powodzi się jej nienajgorzej...

— A co ona robi?...

— Co robi?... Prowadzi handlowe i inne transakcye... To się tak nazywa delikatnie, ale możnaby to określić także nieco dosadniej... W każdym razie ma pani przed sobą „wojenną" bogaczkę...

— Strasznie brzydka, śmieszna i ordynarna — zadecydowała Józia.

Dama, o której mówili, potrząsała co chwila głową, że aż chwiały się kosztowne pióra na jej kapeluszu i kołysały się ogromne brylantowe kolczyki, rzucając snopy tęczowych świateł.

Pomimo ciepłego, letniego wieczoru miała na sobie długie futrzane boa. Głęboki dekolt odsłaniał obfite, czerwonawe ciało. Krótkie, grube palce, przyozdobione zdumiewającą ilością pierścionków, poruszały się w żywej gestykulacyi. Twarz opasła, czerwona, nieumiejętnie upudrowana, śmiała się linią sinawych, szerokich ust i czarnemi, jak tarki, małemi, w tłuszczu tonącemi oczyma.

Dama w futrzanem boa zachowywała się niezmiernie hałaśliwie. Rozmawiała tak głośno, jakby była u siebie w domu, albo znajdowała się sama w kawiarni.

Zwrócona ku dwom swoim towarzyszom, z których jeden był „cywilem", a drugi miał na sobie mundur wojskowy z odznakami feldwebla, mówiła po niemiecku, zaciągając specyficznym akcentem:

Opodal dwóch mężczyzn wiodło niemiecką także rozmowę, ale przyciszonym głosem, prawie że szeptem. Jeden z nich, młodszy, starannie wygolony i utrzyzowany, z twarzą o grubych, czerwonych wargach i dosyć kształtnym nosie, lekko zgarbionym, żywo dowodził czegoś.

Zdawał się chcieć przekonać towarzysza, który musiał zwrócić uwagę każdego bezstronnego obserwatora swoją obrzękłą, odpychającą, rudawym, skudłaczonym zarostem obrosłą twarzą i ponurem wejrzeniem wyłupiastych oczu, przesłoniętych okularami. Zaplamiony surdut jego był stanowczo za długi i przypominał coś niecoś chałat.

Kiedy niekiedy dolatywały z ich rozmowy urywane słowa i frazesy:

— Gutes Geschäft...

— Hundert fünfzig.

— Zwei hundert...

— Zucker wird steigen... wird kolossal steigen...

— Aber still... nur still...

— Und wenn der Frieden...

— Ach! Was! Keine Red!... — zawołał głośniej wygolony jegomość, poruszony widocznie do żywego tem przypuszczeniem.

Wyciągnął z kieszeni notatnik i kreśląc jakieś cyfry, pokazywał je tamtemu.

Przy stoliku sąsiednim, tuż koło Jurka i Józi, kilku młodych ludzi obserwowało także ze złośliwymi uśmiechami ubrylantowaną wrzaskliwą sklepikarkę.

— Trzeba się będzie przenieść chyba do innego lokalu... — westchnął jeden.

— Dlaczego?

— Bo tutaj strasznie ciężkie powietrze... — komicznie przeciągał nosem.

— A gdzie ono lżejsze?... Gdzie się ruszysz, wszędzie pełno nowej „arystokracyi"...

— A pal licho nową i starą arystokracyę, byle tylko facyata była przyzwoitsza!... Ale na to patrzeć, to aż się mdło robi...

— Poczekajcie — zawołał pierwszy — opowiem wam doskonały kawał, jaki zasłyszałem na onegdajszym koncercie...

— Oho! Adaś już coś wymyślił... jakąś blagę...

— Pod słowem, nie żadna blaga, tylko najprawdziwsza prawda. Otóż wybrałem się na koncert, bo jak wiecie, lubię muzykę...

— Szczególnie damską kapelę!...

— Nie przeszkadzaj! Wziąłem miejsce w dwunastym rzędzie... Na lepsze nie stać biednego urzędnika... Oglądam się... koło mnie prawie pusto... Za to pierwsze rzędy przepełnione... I co za publika, rozkosz!... Brylanty! Jedwabie! Perfumy...

— Futrzane boa i czosnek...

— Właśnie. A no nic. Muzyka zaczyna grać. Hałas jak był na sali, tak jest. Koncertant się marszczy, krzywi — nic nie pomaga...

— Co sobie mają żałować za swoje pieniądze?!...

— Wcale sobie nie żałowali. Jedna z „dam" tak głośno opowiadała, że ten „bardzo śliczny kawałek", to jej Rózia gra na „fortepiano", że aż ja musiałem usłyszeć w moim skromnym dwunastym rzędzie. Ale to jeszcze wszystko furda!... Najlepsze będzie dopiero... Słuchajcie! W czasie przerwy „damy" promenują w foyer... Jedna miała na sobie wspaniały żakiet pluszowy. Prawdopodobnie żal jej się było z nim rozstać, chociaż gorąco było jak w piekle...

— Ona się pewnie bała zostawić w garderobie, „coby jej go nie ukradły"...

— Nie wiem, być może... Otóż właścicielka pluszowego żakietu gryzła zawzięcie czekoladki, tak jakby to była gęś pieczona... A ponieważ widocznie zapomniała chusteczki do nosa, albo też słabo znała jej użytek więc otarła sobie usta połą swego wspaniałego żakietu... Ktoś jej zwraca uwagę: „Pani Edelstein, szkoda taki piękny żakiet" na co dama odpowiada: „Nic nie szkodzi, ja mam w domu ładniejszy...

— Ha! ha! ha!

— Doskonałe!

— Si non é vero é ben trovato.

— Ależ nic nie zmyśliłem... Prawda co do słowa... — zapewniał opowiadający, zerkając z pod oka to w stronę Józi — to ku jakimś dwom na złoto utlenionym blondynkom.

Józia śmiała się prawie głośno. Jurek uśmiechał się także, uszczęśliwiony, że ona rozweseliła się i zdaje się bawić wybornie.

— Kto są ci panowie? Nie wie pan, panie Jurku? — zapytała, wskazując towarzystwo, otaczające trzy zestawione razem stoliki. Uderzyło ją w tem gronie kilka bardzo oryginalnych fizyognomii.

— Ci, to już chyba nie „wojenni" bogacze...

— O! nie... to są literaci i artyści. — objaśnił chłopiec.

— A pan zna którego z nich?...

— Osobiście nie znam... Ale z widzenia, z nazwiska... O ten, widzi pani, z taką nastroszoną czupryną, to jest...

Wymienił znane nazwisko poety.

— Co?! On?... Doprawdy?... Wie pan, że ja go sobie zupełnie inaczej wyobrażałam.

Z dziecinnem zainteresowaniem wpatrzyła się w poetę, który nie spostrzegając wcale, że zwraca na siebie uwagę ślicznej kobietki, wychylił jednym haustem kieliszek jakiejś czerwonej wódki. Puste szkło wzniósł do góry i zaśpiewał:

„Komu dzwonią, temu dzwonią,
Ty w kieliszki bracie dzwoń
Bo takiemu kirusowi
Jakie życie — taki skon! skon! skon!

W piwnicy mnie pochowajcie,
W piwnicy mi kopcie grunt!
I głową mnie do drzwi dajcie,
Tam, gdzie jest od beczki szpunt!

Księdza mi tam nie wołajcie,
To potrafi każdy chłop,
Ty mi bracie za kolejąi
Spirytusem ciało skrop! skrop! skrop!

— Tylko uczciwym spirytusem, a nie takim, jaki jest w tej wódce!...

— Zachciewa ci się!... A cóż to gospodarz nie musi zrobić majątku na wojnie!...

— Na pohybel mu!

— Wesoły chłopiec — uśmiechnęła się Józia — ale doprawdy, nigdybym nie pomyślała, że on tak wygląda i takie piosenki śpiewa...

Pomiędzy stolikami przesuwał się teraz piękny, siwowłosy starzec w czamarze, dzwoniąc trzymaną w ręku puszką.

— Grosz na szkoły kresowe, proszę! Na szkoły!...

Towarzysze wesołego poety i on sam — wszyscy jakby na komendę sięgnęli do kieszeni. Niejeden z nich głęboko zaglądał do portmonetki, ale od datku nie uchylił się żaden.

Dał i Jurek. Józia złożyła ofiarę ze swoich skromniutkich zasobów, uśmiechając się przyjaźnie do kwestarza, którego piękna, o szlachetnych rysach głowa, budziła w niej podziw i sympatyę. Młody oficer, samotnie siedzący z gazetą w ręku, rzucił także monetę do puszki. Jakieś panie czarno ubrane przywołały ku sobie starca.

Inni odprawiali kwestarza pogardliwym gestem, albo udawali, że go nie widzą.

Dama w brylantach i futrze głośno wyraziła swoje niezadowolenie:

— Ach! Diese ewige Bettlerei.

Starzec smętnie uśmiechał się, kiwał głową i szedł dalej dzwoniąc puszką:

— Na szkoły grosz!... Na polskie szkoły!...

Józia aż zaczerwieniła się z gniewu.

To ohydne, że tak mało osób dało! Tacy postrojeni, siedzą w kawiarni, a żałują kilka centów na szkoły!

Jurek wzruszył ramionami.

— Szkoda pani oburzenia. Tyle stokroć ohydniejszych rzeczy dzieje się na każdym kroku.

— Trzeba przecież jakoś przeciwdziałać! Od czegóż są szlachetni, uczciwi ludzie! — gorączkowała się.

— Przeciwdziałać? Ba! Ale jak, kiedy ręce związane?

— Jurek Borzęcki! Jak się masz! Na urlopie? — zabrzmiał nagle młody dźwięczny głos.

Legionista ułan wyciągnął do Jurka rękę z uśmiechem serdecznej uciechy.

— Wacław!

Borzecki porwał się z krzesła i rzuciwszy Józi:

— Przepraszam panią na chwilkę — ujął ułana pod ramię. Legioniści weszli do wnętrza sali kawiarnianej, prawie zupełnie pustej, bo wszyscy goście wylegli na werandę. Kilku tylko stałych bywalców schroniło się tutaj, aby swobodnie przeczytać gazety.

Jurek i Wacław usiedli przy pierwszym lepszym stoliku. Jeli rozmawiać żywo, rzucając zdania krótkie, urywane, gorączkowe.

— Więc i ty na urlopie?

— Tak.

— Kiedy wracasz?

— Za tydzień.

— Co z nami będzie?!

— Ha! Tego nikt przewidzieć nie może i o to mniejsza! Ale co będzie z Polską?!

— Polska nie tyle już przetrwała. Przetrwa i to, a zginąć nie może. Tylko co mamy robić?

— Rzucić serce boli... Zostać... czy to w tych warunkach będzie spełnieniem obowiązku?

— Wacku!... Wacku!... Ktoby to pomyślał wtedy, kiedyśmy w Kielcach..

— No, zobaczymy jak się to ułoży. A jeśli będzie trzeba.. to droga jest tylko jedna!

— A wiesz, że...

Jurek zniżył głos do szeptu i mówił koledze coś prawie do ucha. Ułan zapłonął rumieńcem, oczy mu się zaiskrzyły, zgrzytnął zębami i zgniótł gniewnie ręką rękojeść szabli.

— Krew w człowieku kipi! Żeby tak można! Żeby tak można za to wszystko...

Chwilę jeszcze rozmawiali półgłosem. Wreszcie Jurek obejrzał się na stoliki, widniejące poza szybą i podniósł się.

— No, żegnaj Wacku.

— Uciekasz już?

— Jestem z kobietą. Nie mogę jej tak długo pozostawiać samej.

Ułan uśmiechnął się znacząco.

— A tak, oczywiście. I to jeszcze z taką śliczną kobietą. Cud-dziewczyna! Czy to może narzeczona, co?

Oczy Jurka zamgliły się. Odwrócił głowę.

— Ależ skądże — odpowiedział bezdźwięcznie. — To mężatka.

— Mężatka? Doprawdy! Nigdybym nie przypuścił. Taka młodziutka. Ale to nic nie szkodzi, że mężatka. Przeciwnie. Gratuluję ci, Jur.

Borzecki drgnął całem ciałem, jakgdyby go kto uderzył

— Wacek! Mylisz się! To nie jest, jak sobie wyobrażasz. Ty nie wiesz.. To... to!.. I proszę cię bardzo...

— Ależ dobrze, dobrze. Nic sobie już nie wyobrażam! Co mi do tego! No, zmykaj, bo istotnie ta pani już dość długo czeka.

Kiedy Jurek powrócił, zdziwił się zmianą, jaka zaszła w Józi. Wesoły uśmiech zniknął z jej twarzy. Młoda kobieta była widocznie silnie zmieszana. Oczy miała spuszczone, usta drgały, ręka nerwowo gniotła jakąś kartkę papieru.

Jurek sądził, że ona jest zagniewana z po-

wodu tak długiej jego nieobecności. Przypuszczenie to potwierdził jeszcze gorączkowy okrzyk Józi:

– Ach! Nareszcie pan przyszedł!

– Przepraszam panią, bardzo przepraszam – zaczął się tłomaczyć – że odszedłem. Ale miałem temu koledze coś do...

– Ależ ja się o to nie gniewam wcale – wpadła mu pospiesznie w mowę Józia – tylko panie Jurku, płaćmy zaraz, bo ja chcę stąd iść.

– Dlaczego? – zapytał zdumiony jej nerwowem zachowaniem i nagłymi rumieńcami. – Co się stało? Dopiero przed kilkunastu minutami zdawała się pani bawić tak dobrze.

– To wtedy, ale teraz już nie... No idzie pan czy nie, bo inaczej to ja sama idę!... – rzuciła z rozdrażnieniem.

– Płacić! – zawołał Jurek, o nic więcej nie pytając.

Mimowoli rozglądał się wokół, jakby chcąc zrozumieć, co się Józi stało. Nie doirzał jednak niczego takiego, coby go objaśnić mogło. Ci sami ludzie, te same twarze. Tylko przy jednym z sąsiednich stolików nie było oficera, który tam poprzednio siedział. Miejsce jego zajął jakiś młody jegomość z twarzą miłą, ale nieciekawą, o pospolitych rysach i ogorzałej cerze.

Nowy gość miał w całej postawie coś, co kazało przypuszczać, że jest przybyszem z głębokiej prowincyi, lub ze wsi. Świadczyło o tem źle skrojone, niezgrabne ubranie, słomkowy z szerokimi brzegami, od słońca przepalony kapelusz i cera nazbyt ogorzała.

Oczy miał utkwione w wielkiej płachcie „Czasu". Ręce duże, opalone, w których trzymał gazetę, drżały. Usta ściągnął mu dziwny jakiś bolesny skurcz.

– To szczególne. – przemknęło Jurkowi przez myśl – Ten pan czyta „Czas" do góry nogami. A nie jest chyba analfabetą i na wariata także nie wygląda... A Józia taka zmieszana, zmieniona. Czyżby on?... Ależ nie patrzy na nią wcale..

Pochylił się ku Józi i zapytał szeptem

– Czy może kto obraził panią?... Może ten pan, tam, w jasnem ubraniu?.. Jeżeli tak, to ja... Józia potrząsnęła głową.

– Nie. ten pan mnie nie obraził... On mnie nigdy, nigdy nie obraził... – dokończyła bardzo cicho, jakby wzruszona, czy zawstydzona.

– Ale pani go zna?...

– Tak, znam... Chodźmy już... O! jest płatniczy.

Jurek zapłacił i zabierali się do odejścia.

Z drżących palców ogorzałego mężczyzny wysunęła się gazeta i upadła na ziemię. Z policzków, z warg zbielałych nagle uciekła krew.

Sięgnął ręką do kapelusza i ukłonił się Józi nisko, bardzo nisko. Szare, okrągłe. poczciwe oczy spoglądały, jak oczy rannego zwierzęcia.

Józia skłoniła lekko głowę. Ciałem młodej mężatki wstrząsnął dreszcz, pomimo ciepłego wieczoru.

– Czy pani chłodno? – pytał troskliwie Jurek.

– Nie.,. Chodźmy prędzej...

Legionista był już niemal pewny, że to ten nowoprzybyły wypędza Józię z kawiarni. Ale dlaczego?... Kto to jest?...

Paliła go ciekawość, pytać jednak nie śmiał. Józia powiedziała mu sama. Nazbyt wzruszona, aby ukryć wrażenia swoje, snuła dalej głośno myśl

– Nigdy niczem nie obraził mie... Nigdy mi nie dokuczył... Był dla mnie takim dobrym... takim uległym... Zanadto dobrym i uległym... A ja postąpiłam wobec niego szkaradnie... Dlatego nie chcę patrzyć na niego... Nie mogę spojrzeć mu w oczy...

Urwała. Zatonęła w głębi swoich wspomnień. Po chwili dorzuciła:

– Przyniosłam mu nieszczęście... Kto mi to powiedział, że ja nieszczęście przynoszę?... Aha! Moja teściowa... Panie Jurku – zajrzała mu bystro, niespokojnie w oczy – pan się mnie nie boi?

Uśmiechnął się łagodnie, smętnie.

– Nie. Ja nie boję się nieszczęścia.. od pani... Gdyby nawet, to...

Nie dokończył i rzucił zaraz pytanie.

– Czy mógłbym wiedzieć, kto to jest ten pan w kawiarni i jak się nazywa?

– To Władysław Michnik, nauczyciel z Zalesinek. Był moim narzeczonym, panie Jurku...

– Narzeczonym?!

– Tak... Na dwa tygodnie przed ślubem zerwaliśmy, to jest, ja zerwałam w bardzo gwałtowny sposób...

– A!...

Jurek nie mówił już więcej nic, nie pytał, czując, że każde słowo jest zbytecznem, a mogłoby nawet być niedelikatnem i bolesnem.

Józia milczała także. Weszli w planty, pogrążone w mroku, owiane wonią kwiatów. Nie było tutaj tak gwarno, jak po inne lata. Główna aleja nie roiła się od tłumów spacerowiczów Tu i ówdzie tylko snuli się po niej ludzie

Ale w ciszę letniego wieczora, tak jak i dawniej, płynęły szmery szeptów miłosnych.

Ciemno-granatowe, gwiazdami wyiskrzone niebo pobłażliwie spoglądało na młode pary, rozkoszujące się samotnością we dwoje.

Z odali dobiegały dźwięki muzyki, a życie grało odwieczną pieśń kochania i młodości.

Po niebie przeleciała złota świetlista smuga i zgasła.

Jakiś smukły, młody żołnierz szepnął do dziewczyny, przytulonej do jego ramienia:

– Zocha! Patrz, gwiazda spada! Prędko, pomyśl jakieś życzenie!

– Już pomyślałam...

– A jakie?

– Ty wiesz!

– Moja ty!...

Para mijała Jurka i Józię. Żołnierz zaszeptał znowu:

– Za tydzień jadę na front... Może ta gwiazda, co spadła, to moja?!

– Nie mów tak! Nie mów!... To nie może być! Bóg dobry!...

– Ech! Dziewczyno moja, każda żołnierska chwila darowana!

I zanucił z cicha:

„Ej! szabelecka ostra,
Ej! kulecki w kieszeni,
Ej! kto na wojnie padnie,
Ej! ten się nie ożeni..."

W świetle latarni, do której dochodzili właśnie, ujrzał Jurek, że po policzkach jego towarzyszki toczą się dwie jasne krople łez.

– Pani płacze!... Pani Józiu...

– Nic... Nic... Już przeszło... Niech pan sobie nic nadzwyczajnego nie wyobraża.. Jestem tylko trochę zdenerwowana.

ROZDZIAŁ XVII.

Z pamiętnika Józi.

30. lipca.

Więc jestem znowu w Łykowie. W tym obrzydłym pokoju, w tych samotnych czterech ścianach. Duszę się, dławię. Ale wytrwać muszę. Przecież ta wojna straszna nie będzie trwała wiecznie. I Konrad wróci.. wróci... Och! kiedyż ja się tego doczekam?!

Powitanie miałam naturalnie bardzo miłe. Ona obejrzała mnie od stóp do głowy i powiedziała tym swoim tonem, co gorszy jest jak uderzenie batem:

– Już z powrotem? Czegóż się tak spieszyłaś? Mogłaś zabawić dłużej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYA SEGENY.

ŚWIT.

Nad szczytnemi wieżami starego zamku świt powstał barwny. Wyłonił się on z ciężkiego oparu zmierzchów nocnych i rozprzestrzenił po jaśniejącem niebie, drżącem falami czystego, wilgotnego powietrza, ciągnąc jeszcze gdzie niegdzie za sobą długie smugi mgieł szarych. Ale wkrótce otrząsnął się z nich, choć niechętne i zazdrosne o swoją władzę nocną czeniały się chytrze jego złotych promieni i snop długich, tęczowych blasków rzucił przed siebie. Zajaśniał on teraz w całej potędze swoich świeżych narodzin, na szczytach drzew skąpanych rosą, zapalił opalowe krople ciemne wody rzeki, podmywającej omszałe podwórza zamkowej góry, zamienił w szeroką taflę lśniącą, a okna starych komnat i wież trącaną jego upartem, przenikającem światłem, ożywiły się łuną ciepłą, budząc zda się uśpione duchy istnień, tu niegdyś żyjących. Ocknął się wielki ptak biały, drzemiący w gnieździe swojem na szczycie strzelistej wieży. Rozpostarł olbrzymie skrzydła zmęczone zadługim wypoczynkiem i wsłuchał się zdziwiony w szmery niespodziewanie przenikające stuletnie, zmurszałe mury, nienawykły już do tych objawów życia, wydobywających się z pod ciężaru długiej, usypiającej ciszy...

Zda się że ten świt powstający niesie w promieniach swoich wraz z ciepłem tchnieniem wiatru, przybywającem zdała, prąd ożywczej siły, przebija omszałą skorupę bezwładności i martwoty, rozpyla i odrzuca daleko szarą warstwę pyłu, nagromadzonego tu od lat tylu.

Świeży, silny prąd nowego życia przebiegł po starych, zaciemnionych komnatach. Dźwignęła się martwa powłoka, przytłaczająca wspomnienia przeszłości, które, jak snop iskier skrzących rozpierzchły się teraz, wypłaszając ciemność zagnieżdżoną po kątach.

Jasny, promienny świt, młodą poświatą pokrył niezwalczone mury starego zamku.

Wyprężyły się żwawo olbrzymie skrzydła białego ptaka, załopotały radośnie na powitanie tego złotego posłannika budzącego się dnia. Skrzydła jego śnieżne, siecią purpurowych żył znaczone, rozciągają się, olbrzymieją jak dwie przemożne i wielkie tarcze, któreby objąć chciały sobą świat cały.

Uniósł się na gnieździe swojem i popłynął, prując fale drżącego powietrza, zamykające się za nim, długą, białą smugą...

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Na obszernem polu, otoczonem ciemną linią lasów, wre walka zacięta.

Zmagają się siły, nienawiść i odwaga. Młoda krew płynie purpurowym siewem, ostatnią wielką daniną dla ziemi. Danina niepłonna, której okupem będzie życie samo.

Zmagają się siły wyolbrzymiałe w pamięci krzywd, rośnie nienawiść co z śmiercią tylko kończyć się może, rodzi się odwaga, co blaskiem cudu jaśnieje... Sprawiedliwość herlo ujęła w rękę silną, żelazną.. Natura cała zdumiona tym żywiołem, który zakłóca jej spokój i równowagę, skupiła się w sobie cicha i martwa. Tylko lasy stojące zwartym rzędem podejmują odgłosy głuche i przeciągłem echem roznoszą je po swojem państwie.

Tętni ciężko ziemia, tratowana tysiącami niecierpliwych stóp ludzkich, padają kule z suchym, świszczącym szelestem, z zwycięskim rykiem uderzają granaty, śmierć szerząc wokoło. Chyli się pokłosie ludzkie zmożone. Nad polem zawisła gęsta, nieprzebita płachta sinego dymu, podsycana ciągle świeżym napływem fantastycznych, wijących się kłębów. Niekiedy poderwie je silniejszy prąd wiatru i szarą przędzę rozsunie daleko.

Wre walka, nie pomna na noc, co czarnem skrzydłem zawisła nad światem, niby daleki całun nadchodzącej śmierci.

W szeregach walczących duch ciemności czyni już spustoszenia swoje. Przygasają źrenice, powłoką mgły pokryte, ręka omdlewa, prądem świeżej krwi nie ożywiona.

Ale już brzask wstaje, przygnany promieniami świtu. Ku pomocy idzie tym, których znój bierze w moc swoją, jasnem światłem kładzie się na czole bladością pokrytem. Zwalczony duch ciemności uchodzi spiesznie, bo oto idzie ten, któremu nie oprą się zmierzchy podstępne. Rozbłysły oczy, szerzej odetchnęły piersi, zniknęła niemoc dłoni. Duch siły i jasności wstępuje w szeregi. Świt zabłysnął barwny i ciepłem tchnieniem przeniknął, promienie złote sypiąc po drodze, nowe siły życia i nadziei wiodąc ze sobą.

Walka przemienia się w bój rozpaczliwy i wielki. Gorzeją dusze poderwane do lo u zwycięskim prądem, wzmaga się odwaga skrzepiona ożywczem światłem.

Pędzą naprzód szeregi ogarnięte zwycięstwa szałem! Prowadzi ich świt, zwiastum nadchodzącego dnia! Padają szeregi nieprzyjacielskie na ziemię wilgotną, jak łany, podcięte nieubłaganą kosą śmierci. Pierzchają ostatnie w popłochu, dyszące lękiem i zdumieniem, pomne tylko na śmierć i zniszczenie, rozsiewane przez tamtych w około.

Nad polem żałoby, w kłębach białego dymu, unosi się wielki ptak biały, potężnem skrzydłem swojem zda się zasłaniać zwycięzców. Na śnieżnych piórach jego świt zapalił purpurowe blaski...

K O N I E C.

Pokojowa idylla na froncie wschodnim.

Gdy w Brześciu Litewskim toczy się gwałtowna... walka pomiędzy delegatami niemieckimi i rosyjskimi, w czasie tych wojowniczych utarczek przy stole konferencyi pokojowej — prawdziwie idyliczne stosunki panują tam, gdzie do niedawna grzmiały armaty i lała się krew — na froncie. Niedawni wrogowie składają sobie wizyty, schodzą się na pogawędkę, a nawet prowadzą dość ożywiony handel zamienny. Zamieszczone illustracye przedstawiają właśnie różne momenty tych przyjacielskich stosunków na froncie wschodnim. Fotografie te zasługują na uwagę jeszcze i z tego względu, że są to najautentyczniejsze zdjęcia z życia armii rosyjskiej już po jej zreformowaniu na sposób bolszewicki. Widzimy tam więc tak głośnych dziś bolszewickich żołnierzy, z których, jak wiadomo, składają się rosyjskie wojska na froncie...

Zamieszczając te fotografie, illustrujące obecną bolszewicką armią, nie od rzeczy będzie przytoczyć charakterystyczne szczegóły z panujących wśród niej stosunków:

Cała władza w oddziałach wojskowych należy do komitetów żołnierskich. Najwyższym organem zarządu wojskowego jest sekcya żołnierska wszechrosyjskiego komitetu wykonawczego Rad robotniczo-żołnierskich. Armia ma służyć „woli pracującego ludu"; podległa jest władzy komisarzy ludowych. Dyscyplinę utrzymywać należy wyłącznie zapomocą oddziaływania moralnego. Stopnie i odznaki oficerskie zostały zniesione; umundurowanie dla wszystkich rodzajów broni jest jednakowe; komendanci w służbie noszą na ramieniu przepaskę z odpowiednim napisem. Wszyscy komendanci są nie mianowani, lecz wybierani i to aż do dowódcy pułku przez wszystkie oddziały pułkowe, wyżsi zaś komendanci przez odpowiednie komitety aż do kongresy. Oficerowie, nie wybrani na żaden urząd, mogą podać się do dymisyi, jeżeli jednak przeznaczeni zostali do służby jako prości żołnierze, muszą w szeregach pozostać. Uwolnieni ze służby nie otrzymują żadnej pensyi, z wyjątkiem inwalidów, którzy na wojnie utracili zdolność do pracy. Według ogłoszonych rozporządzeń zostały zniesione wszelkie tytułowania. Wojskowi mogą tytułować się wzajemnie tylko jako „obywatele" lub „towarzysze". Sądy wojskowe zostały zniesione i zastąpione przez sądownictwo cywilne. Szkoły wojskowe przestyły istnieć. Nawet działalność operacyjna (strategiczna i taktyczna) podlega kontroli komisyj żołnierskich. Wszystkie pensye zostały zrównane; wszyscy żołnierze i oficerowie otrzymują równe wynagrodzenie.

Wobec takich rozporządzeń, które przeważnie zostały już przeprowadzone, można sobie wyobrazić nastrój i stan duchowy oficerów rosyjskich. Są oni w rozpaczy. Nieliczne tylko jednostki poddają się nowemu stanowi rzeczy. W nielicznych też tylko oddziałach dawni oficerowie zostają wybierani na nowo; przeważnie są niemiłosiernie degradowani i zmuszani do zwyczajnej twardej służby prostego żołnierza. To też obok chronicznej już dezercyi żołnierstwa, mnożą się w ostatnich czasach masowo dezercye oficerów. Uciekają do Kaledina, na Ukrainę, do Ameryki, gdziekolwiekbądź zresztą, aby tylko ujść z pod teroru żołnierzy.



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Żołnierze rosyjscy przy niemieckim kramie z towarami. (Fot Bufa)





Z frontów bojowych:

Zasieki z drutu kolczastego przed pozycyami austryackiemi w górach włoskiego frontu.

Austryacka stacya telefoniczna w górach włoskiego frontu.



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Grupa żołnierzy rosyjskich i niemieckich. Fot. Bufa)

Jeden z ostatnich.

Wśród tylu ofiar, jakie pochłania obecna wojna, wśród bojowników, co legli na polu walki z myślą o zmartwychwstającej Polsce, odchodzą na wieczny spoczynek przedstawiciele minionego pokolenia, którego tradycyą żyliśmy w czasach niewoli, uczestnicy



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Za rosyjskiego papierosa — niemiecki ogień. (Fot. Bufa)

Z frontów bojowych.

Jest rzeczą naturalną, że o wielkiem ożywieniu wojennem na frontach nie może być mowy w chwili, gdy zima lodowatem swem tchnieniem mrozi wszelkie drgnienia życia i stawia niepokonane nieraz przeszkody operacyom. Więc podtrzymuje się akcyę o tyle tylko, iżby nie zmarniała doszczętnie. Przedewszystkiem nie ustaje czynność artyleryi. Jej skuteczność wprawdzie obniża w znacznej mierze niepomyślny stan aury, ale nie do tego przecież stopnia, by uważać akcyę tę za bezcelową. Gdzie zaś linie przeciwników silnie zbliżone są do siebie, wywiązują się od czasu do czasu starcia oddziałów pieszych, rzadko kiedy wszakże przybierając znaczniejsze rozmiary. Na ogół tedy pora zimowa jest dla wojny jakby porą drzemki.

Nawet na froncie zachodnim, gdzie ostatecznie warunki atmosferyczne są jeszcze jako tako możliwe, a w każdym razie znacznie łagodniejsze, aniżeli np. w odcinkach górskich frontu włoskiego, nie przyszło w ostatnich czasach do znaczniejszych operacyi. Wielkie ogniska bojowe, jakie wytworzyły się we Flandryi pod Cambrai i nad Ailette, prawie wygasły. Co dzieje się poza frontem, to uchodzi oczywiście uwadze. Prawdopodobnie jednakowoż nieprzyjaciel nie zasypia gruszek w popiele. Już poprzednio zaznaczaliśmy, że zwłaszcza Francuzi bardzo żywo krzątają się, gromadząc wojska i zapasy

ostatniej walki o wolność w roku 1863. Niewielu z nich doczekało tej radosnej chwili, gdy ideały, o które w swej młodości walczyli, zaczynają się urzeczywistniać. Jednego z tych szermierzy sprawy narodowej przed półwiekiem, wyrwała znów z grona żyjących nieubłagana śmierć. Po dłuższej chorobie zmarł w Krakowie ś. p. Edward Zuliński, gorący patryota i prawy obywatel, należący do dobrze zasłużonej dla ojczyzny rodziny.

S. p. Edward Zuliński urodził się w roku 1842 w Krakowie. Gimnazyum ukończył w Warszawie, poczem wstąpił na wydział prawa Szkoły Głównej. Jako młodzieniec 21 letni brał udział w powstaniu w roku 1863/4 wraz z pięcioma starszymi braćmi, z których Roman został stracony na stokach cytadeli w roku 1864 w dniu 5 sierpnia (wraz z Trauguttem, Toczyskim, Krajewskim i Jeziorańskim).

Uwięziony i osadzony w cytadeli, został wre-



Jeden z ostatnich: S. p. Edward Żuliński.

szcie zesłany do gubernii archangielskiej, gdzie trzy lata przebył na wygnaniu, poczem wróciwszy do Warszawy, pracował przez 25 lat na kolei warszawsko terespolskiej. Gdy rząd rosyjski tę kolej wykupił, przeniósł się ś. p. Zuliński do Krakowa i tu przez 25 lat pracował w krakowskiem Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń.

Zmarły pozostawił czterech synów, między nimi znanego lekarza, dr. Edwarda Żulińskiego i cztery córki, z których Emilia, małżonka posła Adama, zmarła przed 17 laty. Kochany przez rodzinę i ceniony przez wszystkich, którzy mieli tylko możność z nim się zetknąć, pozostawił po sobie żal jak najszczerszy.

Cześć jego pamięci!



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Spotkanie niedawnych wrogów. (Fot. Bufa)



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Konferencya niemiecko-rosyjska przy drutach kolczastych. (Fot. Bufa)

wojenne, aby gdy chwila wybije, stanąć w pełnej gotowości. Czynili tak już nieraz, tak zresztą każdy czyniłby w ich położeniu. O skuteczności przygotowań rozstrzygnie oczywiście przyszły bieg wydarzeń.

Na froncie włoskim wyraziściej jeszcze przebłyskują dotychczasowe punkty ogniskowe bojów. Na płaskowyżu Asiago i w obszarze gór Grappa wybucha od czasu do czasu pożoga wojenna jasnym płomieniem. Żywy ruch zaznaczył się zwłaszcza na Montello, gdzie stoją Anglicy.

Front włoski od czasu wkroczenia sprzymierzeńców zakrawa w pewnej mierze na miniaturę frontu południowo zachodniego. Francuzi także tutaj górują liczebnie nad sojusznikami z poza Kanału. Im przypadły również do utrzymania pozycye najważniejsze i najtrudniejsze. Anglicy wysłali znacznie mniej woisk swych i ustawili się na małym tylko odcinku Montello, gdzie o wiele wygodniej mogą sprostać zadaniu. Tu bowiem nie potrzebują walczyć ani z trudnościami terenu alpejskiego (Montello jest niewysokiem tylko wzgórzem) ani nie są narażeni na przykrości grząskich bagnisk szeroko rozlanych w nizinie. Stosunkowo wcale wygodne obrali sobie gniazdko.

Obaj sprzymierzeńcy przybyli zaopatrzeni suto w materyał wojenny, zwłaszcza w działa i amunicyę.

Po przeprowadzonej tu paraleli dodać jeszcze należy, że także sposób wprowadzania piechoty do walki jest wiernem prawie odbiciem taktyki, jaką posługuje się nieprzyjaciel na froncie zachodnim. Francuzi wogóle skwapliwiej rzucają swe bataliony w ogień i w krótkim stosunkowo czasie kilkakrotnie już przypuszczali szturm na Monte Grappa. Anglicy natomiast, acz znajdujący się tu i w ich pobliżu, szczędzą swej krwi i przynajmniej jak dotąd, pozostali najzupełniej bezczynnymi.

Zato politycy i strategicy angielscy pracują gorliwie, aby w porozumieniu z sprzymierzeńcami obmyślić środki, któreby zrównoważyły kleskę, jaką poniosła niewątpliwie koalicya przez wystąpienie Rosyi ze związku czynnych kombatantów. Znamienną pod tym względem jest mowa Churchilla, który podał kilka sposobów dla pomnożenia zastępu żołnierzy. Jednym z najoryginalniejszych jest pociągnięcie kobiet do służby bliżej frontu. Poza tem koalicya niewątpliwie pracuje nad jak najdalej idącem wzbogaceniem parku artyleryi, jakoteż wszelkich innych technicznych środków walki. Strategicznym bowiem ideałem zwłaszcza Anglików pozostaje nadal walka materyałów. Także co do tego mamy świadectwo w mowie Churchilla. Zapewnia on, że w najbliższej kampanii armie angielskie wystąpią z nierównie bogatszem, niżli dotąd wyposażeniem w artyleryę i amunicyę, jako też z lepszem wyekwipowaniem i uzbrojeniem, przyczem nie zabraknie „najważniejszych rodzajów broni".

Z pewnością także czyni się już obecnie rozległe przygotowania strategiczne, przedewszystkiem przegrupowania, w których nacisk główny — jak domyślać się łatwo — położony będzie na osadzenie silnych rezerw w punktach węzłowych.



Pokojowa idylla na froncie wschodnim: Codzienna pogawędka żołnierzy rosyjskich i niemieckich przy przeszkodach z drutu. (Fot. Bufa)



Z frontów bojowych: Austryacki oddział sanitarny odnajduje rannego w śniegu na włoskim froncie. (Woj. kwat. pras.)



Z frontów bojowych: Austryacki karabin maszynowy ostrzeliwujący z dachu aeroplan włoski. (Woj. kwat. pras.)



Z frontów bojowych: W austryackim forcie pancernym na włoskim froncie. (Woj. kwat. pras.)

Do wzmocnienia frontu zachodniego przyczynićby się mogło bezprzecznie zwinięcie imprezy salonickiej i wycofanie posiłków angielsko francuskich z frontu zachodniego. Ale nad tem wszystkiem unosi się jeszcze znak zapytania, podobnie jak nad kwestyą rzucenia nawet wojsk greckich na front zachodni.

W grę wchodzi nakoniec wlokąca się w nieskończoność, jak wąż morski, sprawa pomocy amerykańskiej. Jasno nie przedstawia się ona, w ostatnich dniach uległa nawet w wyższym jeszcze stopniu zamgleniu. Po wielu bowiem szumnych zapowiedziach, zjawia się nagle wieść, zresztą trudna do skontrolowania pod względem autentyczności, że Ameryka zamierza wysłać sprzymierzeńcom zamiast żołnierza... zboże. Decyzya dość dziwna i stojąca w sprzeczności z oświadczeniem ministra wojny Stanów Zjednoczonych, że armia amerykańska, łącznie już z oddziałami wysłanymi do Europy, dosięgła wysokości półtora miliona ludzi. Ile z tego zastępu przebywa w Europie, minister nie podał, wiadomo wszakże, iż napewno nie więcej nad 40 do 50 tysięcy ludzi. Tajemnicą jest natomiast, kiedy dalsze oddziały staną na kontynencie europejskim.



Z frontów bojowych: Zburzony kościół w S. Dona di Piave (Woj. kwat. pras.)

Cenna książka o sporcie narciarskim.

Coraz liczniejsze rzesze narciarzy polskich witają nowy przejaw żywotności ulubionego sportu, w postaci dawno oczekiwanego podręcznika, obejmującego całokształt nowoczesnego kierunku narciarstwa. Autorem — inż. A. Bobkowski, długoletni kierownik kursów i krzewiciel tego sportu w polskiem społeczeństwie. Podręcznik opracowany sumiennie, z wielką i głęboką znajomością rzeczy, zajmuje wybitne miejsce nawet wśród pierwszorzędnych dzieł bogatej obcej literatury zimowo sportowej. Autor, opierając się na poczynionych w ciągu lat obserwacyach i na elementarnych prawach działania sił i oporów, podaje w swoim podręczniku ścisłą naukowo ugruntowaną teoryę jazdy na nartach, w której skupia z istniejących systemów i metod wszystko, co dobre i praktyczne. Podręcznik, poprawnie po polsku napisany, wydany na doborowym papierze, dogodnego, kieszonkowego formatu, zdobią liczne interesujące zdjęcia narciarsko-sportowe, oraz piękne krajobrazy zimowe. Treść uzupełniają oryginalne rysunki techniczne autora, które w sposób jasny uzmysławiają każdorazowe ułożenie nart na śniegu oraz ich obciążenie.

Treść podręcznika stanowią: przedmowa, rys historyczny, wstęp, szkoła jazdy na nartach, wycieczki wysokogórskie i lawiny.

Życzyć wypada, aby podręcznik ten spotkał się z należnem zainteresowaniem i przyczynił się do jaknajszerszego rozkrzewienia w polskiem społeczeństwie tego szlachetnego sportu, o którym autor we wstępie swej pracy słusznie pisze:

„Nieprzebrane skarby zimowej górskiej przyrody, zamknięte do niedawna dla zwykłego śmiertelnika nieprzepartą zaporą głębin śnieżnych, stały się dzięki nartom dostępne dla wszystkich. Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety — dążą dziś śmiało na swych długich łyżwach śniegowych w nieznane krainy cudów, szukając tam, po dusznej atmosferze miast, zapomnienia szarzyzny codziennego życia, wytchnienia po wyczerpującej pracy, zdrowia i sił do dalszego trudu i znoju. Wchłaniając pełną piersią zdrowe, ożywcze, mroźne powietrze górskie, krzepią i wzmacniają ciało i duszę".



Cenna książka o sporcie narciarskim: Skok z odskoczni



Cenna książka o sporcie narciarskim: Zmiana kierunku jazdy skokiem.



Cenna książka o sporcie narciarskim: Skok w terenie.



Z frontów bojowych: Portogruaro po zdobyciu przez wojska austro-węgierskie. (Woj. kwat. pras.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: **Marya Segeny.**

9

Wierzyć się nie chce, aby w tych lepiankach, wiejących zgnilizną i wilgocią, mieścić się mogli ludzie. Zda się, że nie dobiegł tu nigdy najniklejszy promyk cywilizacyi i że kąt ten na zawsze został oddany na łaskę losu i przypadku.

Progi tych nor bez drzwi wysokie są i nierówne, u okien wiszą szmaty niewiadomego koloru, a poprzez dachy podziurawione widać skrawki błękitnego nieba.

Deszcz, wiatr i zimno zagląda tutaj przez wszystkie szczeliny. Okropny zaduch i wilgoć spływająca kroplami wieje od tych ścian czarnych i ślizgich, zamiast podłogi, kupy przeróżnego śmiecia i grzęzkiego błota.

W lecie zaś słońce pożera gorącymi promieniami te lepianki nie mające żadnej ochrony i w rozprażonem, dusznem powietrzu tysiące much i owadów brzęczy, roznosząc szkodliwe zarazki z miejsc zanieczyszczonych zgnilizną i brudem.

Nic nie jest w stanie oddać dokładnego pojęcia o pospólstwie fermentującem tutaj dniem i nocą.

Kobiety ponure i wychudłe, z oczyma błyszczącemi gorączką, czołem pomarszczonem niezliczonemi zmarszczkami, obnoszące na kościstych ciałach jakieś strzępy i łachmany nieokreślonej barwy, dzieci wybladłe i nikłe, bez wesołości i młodości, noszące już na drobnych twarzach straszne piętno fatalnego dziedzictwa. Mężczyźni o odstraszającym wyglądzie, z zuchwałem, dzikiem spojrzeniem, wysuwający się chyłkiem o zmierzchu, nie wiadomo za jakiem zajęciem czy zbrodnią.

Nikt z miasta nie odważyłby się nigdy zaawanturować się lekkomyślnie w to środowisko rozpusty i nędzy, a jednak tej nocy człowiek jeden miał odwagę skierować się w tamtę stronę.

Było to prawie jeszcze dziecko. Ubrany był w bluzę szarą, płócienne, szerokie spodnie i grube trzewiki. Włosy zakrywała wypłowiała, aksamitna czapka z daszkiem.

Było już około północy.

Księżyc, zasłonięty ciężkimi chmurami, rzucał niepewne, nikłe światło, wiatr zimny świszczał pomiędzy domami i na wylotach ulic.

Wyrostek oryentował się jak mógł pomiędzy krętemi, wyboistemi uliczkami dzielnicy. Niekiedy noga pośliznęła się mu nagle w grząskim błocie, po którem brodził z trudnością. Niekiedy przystawał niespokojny, zmieszany, spoglądając wokoło, tak, jakby lękał się być dostrzeżonym.

Ale dzielnica pogrążona była w ciemnościach i jeżeli od czasu do czasu słaby promień księżyca prześlizgnął się poprzez chmury i oświetlił miejsce, w którem się znajdował, nie mógł widzieć nic w około siebie i w ciszy, zalegającej pustkowie, słyszał tylko przyspieszone bicie własnego serca.

Przebiegł w ten sposób część dzielnicy i doszedł nareszcie do jednej z lepianek, bardziej opuszczonej jeszcze od innych. Tutaj przystanął i odetchnął głęboko.

Głębokie wzruszenie malowało się na jego twarzy, pokrytej drobnemi kroplami potu.

W milczeniu podsunął się do ściany i spojrzał przez maleńkie okienko do wnętrza lepianki.

Oświetlona była nędzną lampą, rozsnuwającą długie pasma czerwonego dymu. W jednym kącie nory leżał siennik, z którego wychodziła słoma aż na podłogę. Na środku stał stół o trzech nogach, przy którym siedział człowiek z głową zwieszoną na piersi. Czaszka jego była całkiem ogołocona z włosów. Zwiędnięta, żółta skóra pokrywała wystające policzki, a ręka, którą machinalnym ruchem przeciągnął po czole, czarna była i pokurczona jak u szkieletu.

Długo już zapewne człowiek ten siedział zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, bo zaledwie wyrostek rzucił spojrzenie do izby przez zamączoną szybę, kiedy tamten podniósł się nagle znienacka ruchem, ujął lampę i podszedł do barłogu. Kiedy jednak umieścił lampę na kuferku, znajdującym się tuż obok siennika, poruszył się niespokojnie, nadsłuchując.

Ktoś pukał do drzwi.

Czy to może wicher zaszeleścił głośniej, poruszając pokryciem dachu, lub zwierzę jakie wpadło do swej kryjówki?

O tej porze bowiem któżby się ośmielił naruszyć spokój Złotej dzielnicy.

Starzec wzruszył ramionami, jakgdyby odrzucić chciał od siebie przypuszczenie tak niedorzeczne i chciał już usiąść na sienniku, kiedy nowe pukanie zwróciło jego uwagę.

Już teraz nie było żadnej wątpliwości, słuch go nie mylił. Ktoś naprawdę pukał do jego drzwi.

Wziął lampę i poszedł otworzyć.

Na progu stał młody człowiek, trzymając czapkę w ręce.

Starzec spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Ojciec Andrzej? — zapytał wyrostek dziwnie drżącym głosem.

— To tutaj — odpowiedział starzec.

— To wy, nieprawda, to wy nim jesteście?

— Tak, to ja.

Młody chłopiec wszedł, nie spuszczając wzroku z właściciela lepianki.

Zdawało się, że szukał na tej twarzy, napiętnowanej przedwczesną starością, śladów zapomnianej przeszłości i wobec tego starca, zdradzającego jeszcze przebłyski siły i inteligencyi, wzruszenie głębokie opanowało go.

Tymczasem ojciec Andrzej zamknął drzwi za wchodzącym gościem. Postawił lampę na stole i wskazał na jedyne krzesło, znajdujące się w pokoju.

— Chcesz ze mną mówić, mój przyjacielu? — rzekł po chwili wahania.

— Tak — odparł młody chłopiec, — już od kilku dni dopytuję się o was, ojcze Andrzeju, lecz dziś dopiero powiedziano mi, że was tu znaleźć mogę.

Starzec potrząsnął smutnie głową.

— Bo nie znają mnie tu wcale pod imieniem ojca Andrzeja — wyrzekł poważnie — i dziwię się nawet, moje dziecko, że mógł ktoś tak dobrze cię poinformować.

— Oh, informacye, o jakie się postarałem, były zanadto dokładne, abym się mógł pomylić. Wiedziałem, że nie zawsze byliście w takiem położeniu, ojcze Andrzeju, a ci, którzy was znali w waszej oberży z ulicy św. Jakóba, nie zapomnieli o was jeszcze.

Starzec poruszył się żywo.

— Ulica Świętego Jakóba! — powtórzył drżącym głosem.

— Czy nie pamiętacie jej już? — zapytał młody chłopiec.

— Owszem.

— Byliście wówczas prawie bogatym człowiekiem, ojcze Andrzeju. Byliście szczęśliwi... Mieliście żonę... dziecko..

— Córkę! — szepnął starzec z głębokiem westchnieniem żalu.

— Przypominacie ją sobie?

— Oh, ulica Świętego Jakóba — wyrzekł ojciec Andrzej, przesuwając ręką po czole. — Ulica Świętego Jakóba!

Potrząsnął głową, jakgdyby daleko odrzucić chciał od siebie przykre jakieś wspomnienia, zmuszające go do powrotu do przeszłości, o której pragnął zapomnieć.

— Bolesna próba — szepnął ponuro — fatalna data!... Od niej to zrodził się początek wszystkich moich nieszczęść... zniknięcie córki... żona moja umierająca z głodu... ja sam walczący ze śmiertelną chorobą... Wszystkie tortury, wszystkie nędze i upokorzenia... podczas gdy inni... Ale... nie mówmy o tem wszystkiem... ja chcę zapomnieć.. chcę zapomnieć koniecznie. Ilekroć myślą spojrzę poza siebie, drżę... lękam się...

Młody chłopiec wyciągnął rękę do starca i objął go serdecznem spojrzeniem.

— A jednak ja przyszedłem tutaj, aby pomówić z wami o tej przeszłości, ojcze Andrzeju — wyrzekł zniżonym głosem.

— Ty?

— Tak — ja...

— I w jakim celu?

— Kto to wiedzieć może! Bóg jest dobry i może zechce was jeszcze obdarzyć radością na stare lata.

— Co ty mówisz, dziecko?

Młody chłopiec uśmiechnął się łagodnie.

— Ojcze Andrzeju — rzekł wesoło — odpowiedzcie mi szczerze: Czy pośród nieszczęść waszych, w chwili największego zawzięcia się losu przeciw wam, nie zdarzyło się wam kiedy marzyć o tem, że przeszłość może być nagle na zawsze wytarta z waszego życia?

— Jakto?

— Może myśl taka była szalona i bezpodstawna, nie zaprzeczam, ale serce wasze wierzyło, że tak się stać jeszcze może — nieprawdaż? Czepialiście się rozpaczliwie tej myśli i nieraz zapewne, przyznajcie, obudziliście się nad ranem, słysząc głos waszej utraconej córki? Czy nie tak, ojcze Andrzeju?...

Starzec na te słowa powstał nagle z siennika i podszedł bliżej do chłopca, przypatrując mu się z gorącą ciekawością.

— Dosyć! — zawołał drżącym, wzruszonym głosem. — Dosyć! Któż ty jesteś? Dlaczego przyszedłeś mi mówić podobne rzeczy? Ah! Dziecko nierozważne! Źle czynisz, wyśmiewając się w ten sposób z boleści starego człowieka.

— Ależ ja się wcale nie śmieję, ojcze Andrzeju.

— W takim razie nie wspominaj nigdy o przeszłości — rozumiesz?

— Jednakże ta przeszłość, o której mówić nie chcecie, nie pozostawiła wam żadnych wyrzutów!

— Ah tak, na moją duszę przysięgam, że powiedziałeś prawdę!

— I odtąd woleliście przyjąć nędzę najokropniejszą, niż dotknąć depozytu, który wam został powierzony.

Starzec wyprostował się z błyskiem przerażenia w oczach.

— Kto ci to powiedział? — zapytał ze zdumieniem, patrząc na chłopca.

— Mniejsza o to, skoro wiem — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Znałeś tego nieszczęśliwego, który znikł na zawsze?

— Znałem go.

— Ah! A więc musiałeś się coś dowiedzieć.

— Jeszcze lepiej, ojcze Andrzeju, bo sam widziałem wszystko!

Ojciec Andrzej pochwycił żywo ręce chłopca.

— Widziałeś wszystko! — zawołał gwałtownie. — Kimże więc ty jesteś?!

— Powiem wam to później.

— Ale przecież nie przyszedłeś tu do mnie po to tylko, aby mi tych strasznych słów kilka powiedzieć!... Musiałeś mieć inny cel, narażając się na niebezpieczeństwa, jakie ci mogą grozić w tej pustej dzielnicy? I ponadto jeszcze wzbudziłeś we mnie przed chwilą nadzieję i byłoby bardzo okrutnie z twojej strony, gdybyś mi ją teraz odebrał.

Młody człowiek spojrzał na mówiącego z rozczuleniem.

— Trzeba mieć ufność we mnie, ojcze Andrzeju — odparł łagodnie. — To, co obiecałem, jestem w każdej chwili gotów dotrzymać.

— Będę więc miał wiadomość o mojem dziecku? — zapytał gorączkowo starzec.

— Kiedy zechcecie, ojcze Andrzeju.

— Mój Boże! Ty mnie nie zwodzisz?

— Dlaczegóż miałbym to czynić?

— To byłoby straszne!

— Jutro, ojcze Andrzeju, około południa oczekiwać będę was u siebie.

— Ale gdzież cię ja znajdę?

Młody chłopiec wyciągnął bilet z kieszeni i podał go staremu. Poczem wstał i skierował się do drzwi.

W progu zwrócił się jeszcze, uścisnął goraco rękę ojca Andrzeja i zalecił mu, aby się stawił niezawodnie nazajutrz pod adres wskazany i wybiegł na ulicę.

Ojciec Andrzej, pozostawszy sam, skwapliwie spojrzał na bilet, wręczony mu przez młodego chłopca.

Wypisane były na nim tylko dwa słowa: „Baron Luigi“.

Tymczasem księżyc skrył się zupełnie poza gęstemi chmurami i wiatr dął coraz przeraźliwiej, wstrząsając nędzną lepianką jak łupiną.

Była już godzina pierwsza po północy. Ojciec Andrzej cały był przejęty rozmową z chłopcem i tem, co go jutro spotkać mogło, nie myślał więc wcale o udaniu się na spoczynek.

Że jednakże wiatr groził co chwila wyrwaniem drzwi i okien, staruszek po chwili namysłu postanowił umocnić je i zabezpieczyć lepiej przed wichurą.

Ale kiedy właśnie chciał się zabrać do tej czynności, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna.

Ojciec Andrzej nie spodziewał się wcale od-

wiedzin drugich tej nocy. Ale kiedy poznał wchodzącego, wyraz przerażenia odmalował się na jego twarzy i cofnął się z okrzykiem zdumienia.

— Paskal! To ty! — zawołał. — Ty tutaj! O tak spóźnionej porze!

Paskal uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy zdrowych, białych zębów.

— Dawno nie widzieliśmy się — odparł ze spokojem, który był podstawą jego charakteru — a już od kilku miesięcy chciałem tu przybyć.

— Czego chcesz odemnie?

— Mam z tobą do pomówienia.

— Ze mną? — zdziwił się ojciec Andrzej, patrząc niechętnie na gościa.

— Z tobą. A wiesz ty, Andrzeju — mówił dalej Paskal, siadając swobodnie przy stole — że zaledwie cię poznałem, ujrzawszy cię teraz.

— Ah! Co mi na tem zależy — westchnął stary.

— Zmieniłeś się bardzo od paru lat. Żyjesz tu samotny, opuszczony, smutny, żyjesz w nędzy, która za ciężka jest na twoje stare lata. To tak dalej trwać nie może, rozumiesz mnie?

Stary zaprzeczył energicznym ruchem ręki.

— A wiec tem lepiej — odparł z dumnem spojrzeniem — tem lepiej, Paskalu. Śmierć nie przestrasza mnie wcale. Jeżeli Bóg chce mnie do siebie powołać, niech się to stanie jak najprędzej. Nie będę czuł żalu za życiem. Umrę ze spokojnem sumieniem, bo pośród strasznych cierpień, jakie przeżyłem, od jednego tylko zostałem ochroniony. Od wyrzutów sumienia, które każda zbrodnia musi pozostawić za sobą.

Paskal pogardliwie wzruszył ramionami.

— Byłeś zawsze naiwnym, mój Andrzeju — odparł ironicznie. — Ofiarowałem ci przecież kilkakrotnie pokaźne sumy, któreby cię uchroniły od nędzy i niedostatku, a ty zawsze odmawiałeś mi lekkomyślnie.

— I zawsze odmawiać będę — odparł z dumą ojciec Andrzej.

— Oh! Nie przychodzę wcale czynić ci nowe propozycye, chociaż jednakże... gdybyś chciał tylko...

— Nigdy!

— Byłbyś bogaty, spokojny o ostatnie lata starości — cedził powoli Paskal. — Miałbyś złota pełne kieszenie.

— To złoto jest krwią splamione — szepnął ponuro ojciec Andrzej, wstrząsając się nerwowo.

Paskal wybuchnął długim, ironicznym śmiechem.

— Przypuśćmy — rzekł, powracając natychmiast do dawnej powagi. — Zresztą nie chcę ci się sprzeciwiać. Miałem inne myśli, przychodząc tutaj dzisiaj i skoro jesteś znowu taki uparty i nieprzejednany, mówmy teraz o tem, co mnie do ciebie sprowadza. Usiądź więc tu przy mnie i porozmawiajmy jak dwaj bracia.

Przez ten czas burza na dworze rozszalała się zupełnie. Wicher świszczał przeraźliwie, uderzając raz po raz w nędzną lepiankę, gęsty deszcz zacinał w papierowe szyby okien i wpadał strugami aż do pokoju. Z daleka dochodził głuchy pomruk grzmotów i oślepiające błyskawice przelatywały jak ogniste komety po sklepionem, c emnem niebie.

Ojciec Andrzej usiadł bez słowa niedaleko Paskala i z wzrokiem wytężonym wpatrywał się w niego.

— Czy przypominasz sobie ulicę świętego Jakóba? — podjął po chwili milczenia Paskal. — Czy przypominasz sobie noc całkiem podobną do tej? Burza rozszalała z równą gwałtownością i deszcz lał strugami, unoszony pędem wichru. Będzie lat temu piętnaście. Andrzeju i nie wiem, dlaczego wspomnienie to powraca do mnie teraz, tak, jakgdyby dramat, który się wówczas rozegrał, stał się wczoraj dopiero.

— Przypominam sobie. — szepnął ojciec Andrzej brwi marszcząc. — Tej nocy człowiek pewien wyszedł z mojego domu pomimo próśb moich i przestróg. Pojechał do Bierres, nie zwracając uwagi na burzę, wiatr i deszcz i od tej chwili nikt nie wie, co się z nim stało.

— Zniknął w tajemniczy sposób.

— Powiedz lepiej, że został zamordowany.

— Kto to wiedzieć może?

— Nikt, oprócz mnie.

— Tak przypuszczasz?

— Jestem tego pewny.

— A jednak nie śmiesz tego powiedzieć.

Ojciec Andrzej ujął głowę w obydwie dłonie.

— Oh! Byłem podłym tchórzem. przyznaję — zawołał z rozpaczą — ale wy wszyscy byliście więcej niż okrutni! Przeląkłem się was! Córka moja pozostała w waszych rękach i ona także znikła niespodzianie. Grożąc mi, że ją zabijecie przy najlżejszej niedyskrecyi z mojej strony, wiedzieliście dobrze, że okupujecie moje milczenie. Zbrodnia udała się wam doskonale, mając taki zakład w ręce, byliście bezpieczni. Od lat piętnastu milczę. Ale jest koniec na wszystko, na największą nawet cierpliwość i obawę. Teraz mam dosyć tego, rozumiesz? To położenie dręczy mnie i nie daje spokoju. Bóg mnie pokarał za moją podłość. Uczynił mnie nędznym i samotnym! A więc, dowiedz się dzisiaj Paskalu, milczenie moje cięży mi jak ciężki wyrzut i jeżeli do ośmiu dni nie powrócisz mi córki, nieszczęście spadnie na mnie, na was. na wszystkich, bo wydam wszystko!

Paskal ironicznie się uśmiechnął, mierząc surowym okiem starca.

— Odwaga przyszła na ciebie trochę późno — zauważył suchym głosem.

— Nie lękam się już waszych gróźb.

— Przestałeś więc kochać córkę? — zapytał Paskal, rozmyślnie ważąc słowa.

— Chcę ją widzieć.

— A gdybym ci ją oddał?

— Obiecywałeś mi to po sto razy i zawsze oszukiwałeś mnie.

— Ale jeżeli tym razem dotrzymam obietnicy?

— Nie wierzę ci już.

— Gdybym ci powiedział: „jutro córka twoja będzie przy tobie".

— Co mówisz?

— Jutro, słyszysz — powtórzył z naciskiem Paskal, patrząc prosto w oczy ojca Andrzeja.

— Czy to możliwe?

— A gdybym ci ją pokazał, nie czującą żalu do przeszłości, pełną nadziei na przyszłość, szczęśliwą?

— Ależ to sen — szepnął ojciec Andrzej, jakgdyby olśniony tym obrazem.

— Sen, który ty zamienić możesz na rzeczywistość.

— Ja?

— Wystarczy ci powiedzieć tylko jedno słowo.

— Ah! Mów, mów! — zawołał skwapliwie ojciec Andrzej, z radosnem drżeniem.

— Zgadzasz się na to?

— Czekam.

Zdawało się, że ojciec Andrzej przeistoczył się nagle. Ręce jego, drżące ze wzruszenia, wyciągnęły się w rozpaczliwym ruchu prośby do Paskala i spojrzenie jego, zamglone łzami, zdawało się go prosić o bliższe wytłumaczenie się.

— Posłuchaj mnie więc — ciągnął dalej Paskal, przybliżając się do niego, jakgdyby lękał się, aby kto słów jego nie posłyszał — słuchaj i nie zopomnij, że wtajemniczając cię w naszą sprawę, powierzając ci część naszych tajemnic, mam sposób zmuszenia cię do milczenia, w razie gdybyś zechciał być niedyskretnym.

Zaległo krótkie milczenie.

— Wiesz o wszystkiem — podjął po chwili Paskal — i ty jeden mógłbyś zwrócić uwagę sprawiedliwości na zbrodnię, popełnioną lat temu piętnaście w willi Bierres. Przedmioty, które zachowałeś i które należą do tego człowieka, który spędził noc u ciebie w oberży św. Jakóba, te przedmioty, to groźby i dowody niezbite i dłużej w twojem posiadaniu pozostać nie mogą.

— Ty chcesz, abym ci je zwrócił? — zapytał niepewnym głosem ojciec Andrzej.

— Żądam tego.

— Ależ to depozyt święty i nie mogę się go pozbyć za żadną cenę.

— To mi jest obojętne.

— Ale mnie nie... i powtarzam, za żadną cenę...

Paskal poruszył się niecierpliwie.

— O tem przekonamy się jeszcze — wymówił twardo. — Ale mówmy dalej. To jeszcze nie wszystko, co miałem ci do powiedzenia, mój kochany. Żądać będę jeszcze czegoś innego od ciebie.

— Mów więc. — szepnął ojciec Andrzej z rezygnacyą.

Paskal zamyślił się chwilę i podjął znowu:

— Oto lat temu piętnaście, jak zbrodnia popełniona została, jak znikł człowiek, o którym dotąd nikt nie wie, co się z nim stało i do dnia dzisiejszego nic nie zagroziło sytuacyi bankiera de Compans. Ale stać się może łatwo, że ta sytuacya ulegnie zmianie, że nieprzewidziany przypadek przypomnieć może wszystko. Ten człowiek pozostawił za sobą brata, syna, kogoś w każdym razie. I ten syn czy brat powrócić może którego dnia, w chwili, w której się go najmniej spodziewać będą. Powodowany uczuciem zemsty zacznie czynić poszukiwania i od oberży św. Jakóba dojdzie oczywiście do złotej dzielnicy. Czy ty to rozumiesz, Andrzeju?

— Staram się zrozumieć. — odpowiedział stary.

— Nie trzeba więc, aby cię tu znaleziono. Bo kto wiedzieć może, jaki obrót wówczas rzecz weźmie. Będzie cię kusił, obieca ci dużo złota i koniec twojej nędzy i ty wydasz wszystko.

— Ja?!

— To bardzo możliwe. — dodał z naciskiem Paskal — A wówczas twoja gadatliwość zgubi nas wszystkich.

— Do tej pory milczałem jednak — szepnął niechętnie ojciec Andrzej — i rozumiesz dobrze, że tylko mojemu milczeniu zawdzięczasz bezpieczeństwo.

— Ale to milczenie cięży ci, sam o tem wspominałeś i to jest w końcu naturalną rzeczą i chociaż mamy zakład w ręku, jak ci już mówiłem, najmniejsza niedyskrecya zgubić nas może. My zaś chcemy uczynić wszelką niedyskrecyę niemożliwą do spełnienia.

Ojciec Andrzej popatrzył uważnie na Paskala i brwi zmarszczył.

Sam nie wiedział dlaczego, ale jakieś dziwne uczucie ogarnęło nim nagle. Był to przestrach jakiś, z którego zdać sobie nie mógł sprawy. Przyspieszone uderzenia serca i szum w uszach odebrały mu na chwilę przytomność umysłu. Wylęknionym wzrokiem powiódł po nędznej izbie, poczem spojrzenie jego spoczęło na Paskalu pytające i trwożne.

— Posłuchaj mnie, Paskalu. — wyrzekł głosem, który napróżno starał się umocnić — Czego ty właściwie żądasz odemnie? Co chcesz, abym uczynił? Bo słowa twoje są dziwne i nie odgaduję jeszcze, jakie propozycye chcesz mi uczynić!

Paskal brwi zmarszczył i spojrzał ostro na starego.

— Twoja obecność w Paryżu jest ciągłem niebezpieczeństwem dla nas.

— A więc?

— Musisz Paryż opuścić.

— Ja mam Paryż opuścić? — powtórzył ojciec Andrzej z przestrachem.

— Tak i to do ośmiu dni. — wyrzekł twardo Paskal.

Ojciec Andrzej z trudnością panował nad sobą. Czuł, że pomimo jego woli gniew silny wzbiera w jego piersi, lękał się jednak wybuchnąć i w tej niepewności, w jakiej się znajdował, nie wiedział, co z sobą począć i co odpowiedzieć bratu.

Jednakże podejrzenie jakieś zaczęło w nim wzbierać. Ta niespodziewana propozycya Paskala uczyniona tak, bez ważniejszego powodu, musiała mieć cel jakiś ukryty i zdawało się ojcu Andrzejowi, że cel ten właśnie odgadł.

Dreszcz przeciągły przebiegł jego ciało.

Nagły błysk światła przebił gęste ciemności, które obciążały jego umysł. Był to błysk tylko, ale wystarczający, by wstrząsnąć nim całym.

Powstał nagle i błyszczące uporne spojrzenie utkwił w bracie, poczem drżący wsparł się o wilgotną ścianę mieszkania.

— Mam wyjechać — szepnął — opuścić Paryż, czy to jest twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— A jeżeli zgodzę się na to, oddasz mi moją córkę?

— Nie.

— Jakto?

— Czy sądzisz, że jesteśmy tak naiwni, aby się dobrowolnie pozbyć zakładu, który nam do tej pory wobec ciebie doskonale służył.

Ojciec Andrzej poruszył się gwałtownie.

— A jeżeli jednak odmówię — wymówił wolno, patrząc w twarz brata.

— Oh! Toby była rzecz inna.

— Cóżbyście uczynili?

— Usunęlibyśmy zakład.

— Zamordowalibyście moją córkę?

— W każdym razie urządzilibyśmy w ten sposób, abyś jej już nigdy więcej nie zobaczył. — wymówił całkiem spokojnie Paskal.

Ojciec Andrzej wyprostował wyniosłą swoją postać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Walka o pokój.

Żądania robotników.

Trudności, jakie się wyłoniły podczas rokowań w Brześciu Litewskim, wywołały w całej Austryi wielkie zaniepokojenie które znalazło swój wyraz w licznych manifestacyjnych wiecach i proklamowanym przez partyę socyalistyczną w Wiedniu strejku powszechnym. Stanowisko robotników wiedeńskich streszcza zamieszczona w „Arb. Ztg.“ na czele numeru płomienna odezwa, która wzywa robotników do walki za rychłym pokojem, za pokojem na zasadzie prawa narodów stanowienia o sobie.

Odezwa dalej wywodzi: „Z powodu egoizmu agraryuszy robotnicy cierpią nędzę, że rewolucya rosyjska usunęła przeszkody do zawarcia pokoju, że Rosya nie żąda obecnie niczego od czwórprzymierza, pokój z Rosyą może być tedy obecnie natychmiast zawarty. Nie lud, lecz klasy panujące, nie obywatele, chłopi i robotnicy, lecz szlachta ma rozstrzygać w tej ważnej chwili. I oto przeciw temu bronią się Rosyanie.

Jaki interes mamy co do Polski, Litwy i Kurlandyi? Jeśliby rokowania w Brześciu Litewskim rozbiły się z powodu różnicy poglądu w kwestyi prawa narodów stanowienia o sobie, to musielibyśmy wojnę dalej prowadzić — chyba w tym celu, by cesarz Austryi wybrany został królem Polski, by król pruski panował pod względem gospodarczym i wojskowym w Kurlandyi i na Litwie.

Czyż lud znosić ma dalej dolegliwości wojny w tym celu, by poddać władcy Niemiec i Austryi obce narody?

Znamy niedolę, nastrój i wolę mas robotniczych w Austryi i oto oświadczamy, że wśród takich warunków byłaby wojna prowadzona wbrew woli ludów Austryi. Niechaj wiedzą panujące klasy w Austro Wegrzech, co lud panujący myśli o przedłużaniu wojny dla podobnych celów, niechaj wiedzą, że na nich samych spadnie odpowiedzialność za dalsze ofiary i niebezpieczeństwa.“

Proklamowany dla poparcia tych żądań strajk zakończył się w dniu 20 b. m. po konferencyi przedstawicieli robotników z rządem, która odbyła się w sali ministeryalnej parlamentu. Wzięli w niej udział: prezydent ministrów Seidler, minister wyżywienia Hoefer, minister spraw wewnętrznych Toggenburg, minister obrony krajowej Czapp z jednej strony — z drugiej reprezentanci robotników, pod przewodnictwem posłów: Adlera, Seitza, Rennera, Domesa, Hanuscha.

Oświadczenie rządu.

Po krótkiej przemowie posła Seitza oświadczył prezydent ministrów, dr. Seidler, że właśnie w obecnej, poważnej dobie, która wymaga pełnego współdziałania wszystkich warstw, dbałych o dobro państwa, jest dlań pożądanem, iż może wejść w bezpośredni kontakt z przybyłymi zastępcami robotników.

Odnośnie do kwestyi pokoju, prezydent ministrów złożył następujące oświadczenie:

„Jest najgorętszem życzeniem cesarza jak najrychlej zakończyć wojnę honorowym pokojem. — W myśl tych intencyi cesarza w uwzględnieniu niejednokrotnie ogłaszanych głównych wytycznych swej polityki, c. i k. rząd czynił wszystko, co było w jego mocy i także w przyszłości uczyni wszystko możliwe, ażeby najrychlej doprowadzić do ogólnego pokoju. Jeśli obecnie możliwe jest tylko zawarcie pokoju odrębnego z Rosyą, to odpowiedzialność za to spada na państwa koalicyi, które odrzuciły wszystkie nasze kilkakrotnie ponawiane próby pokoju. Mimo to rząd trwa nadal przy tem, aby możliwie najrychlej doprowadzić do ogólnego pokoju. Zarówno teraz, jak i przedtem dalekim jest od tego, by osiągnięcie tego celu utrudniać przez jakiekolwiek za miary aneksyjne i jest nadal jak poprzednio silnie przekonany, że międzynarodowe układy o rozbrojeniu i sądach rozjemczych mogą stanowić sposobną podstawę do pokoju ogólnego.

Odnośnie do rokowań pokojowych z Rosyą oświadczył rząd ponownie, że nie dąży do żadnych terytoryalnych zdobyczy kosztem Rosyi i o takie plany nie mogą zatem rokowania pokojowe się rozbić.

W szczególności co do Polski, uważał rząd Polskę za samoistne państwo, które ma swoje stosunki do nas samoistnie urządzać, przyczem z naszej strony, jak się samo przez się rozumie, ma być zachowany ciałom ustawodawczym obu państw monarchii konstytucyjny wpływ na to uregulowanie. Daleką tedy jest od nas chęć dyktowania Polsce ustroju państwowego lub jakichkolwiek stosunków do nas.

Rząd ogłosił już swoją zgodę na to, że ludności Polski ma być pozostawionem, by przez powszechne głosowanie na szerokiej podstawie swoją państwowość uregulowała i wyraził przekonanie, że to najlepiej stać się może przez wybrane na szerokiej podstawie konstytucyjne zgromadzenie. Rząd oświadczył nadto gotowość ułożenia się co do skuteczniejszych gwarancyi, aby ludność Polski mogła zupełnie swobodnie powziąć swą decyzyę, a wolność ta nie będzie przez władze okupacyjne w żaden sposób uszczuplona.

Żądanie rządu rosyjskiego co do opróżnienia zajętych obszarów musiał rząd wprawdzie odrzucić, nie stało się to jednak wcale z tego powodu, iżbyśmy chcieli wojskową okupacyę wyzyskać na to, by prawo polskiego ludu samostanowienia o sobie w jakimkolwiek kierunku ograniczać, lecz wyłącznie dlatego, że przy dalszem trwaniu wojny na innych frontach i wobec jeszcze nieumocnionych i nieuporządkowanych stosunków w Rosyi, obszarów tych nie możemy opróżnić bez narażenia naszych wojskowych interesów. Jednakowoż odnośnie do wyznaczenia terminu dla okupacyi, usiłujemy dojść do kompromisu z rządem rosyjskim i mamy nadzieję, że przy dobrej woli u obu stron to się powiedzie.

Ponieważ monarchia przy rozwiązaniu wszystkich tych kwestyi nie kieruje się żadnym egoistycznym zamiarem i jest skłonną uwzględnić życzenia rządu rosyjskiego tak dalece, jak na to pozwalają nasze interesa, mamy absolutną pewność, że przy równie dobrej woli po drugiej stronie rokowania tych kwestyi nie rozbiją się.“

W dalszym ciągu złożyli jeszcze oświadczenia minister żywnościowy Hoefer i minister spraw wewnętrznych Toggenburg. poczem mężowie zaufania robotników uchwalili rezolucyę, która te oświadczenia przyjmuje z zadowoleniem do wiadomości i poleca robotnikom Austryi natychmiastowe podjęcie pracy.

Protest Lwowa przeciwko zakusom ukraińskim.

Odbywające się w Brześciu Litewskim rokowania, mające także określić przyszłość ziem polskich, w szczególności zaś ujawnione zarówno na tych obradach, jak przez galicyjskich Ukraińców, pretensye ruskie do wschodniej Galicyi, skłoniły polskie obywatelstwo miasta Lwowa do manifestacyi, która zdeklarowała stanowisko tej polskiej stolicy wobec zamachów na nią i na całą Galicyę wschodnią. W tym celu polskie obywatelstwo Lwowa ze wszystkich sfer społecznych, zwołało ogólny wiec do sali Tow. Politechnicznego. Wiec zgromadził wielką liczbę uczestników, między nimi poważne osobistości ze sfer inteligencyi. Po wybraniu prezydyum, składającego się z pp.: r. dw. Kiliana, dyr. Boziewicza, gen. Albinowskiego i prof. Semiradzkiego, wygłosił obszerny referat dr. Wereszczyński, który przedłożył następującą rezolucyę, uchwaloną wśród zgodnych okrzyków zgromadzonych:

1) Obywatele stoł. krol. m. Lwowa, zebrani dnia 11 stycznia 1918 roku, odpierają stanowczo wszelkie zakusy Ukraińców tak w sprawie przyłączenia wschodniej Galicyi do Ukrainy, jakoteż w sprawie utworzenia z tej części Galicyi osobnego kraju koronnego w Austryi, oraz stwierdzają, że Galicya zgodnie z niewzruszalnemi prawami Polski, oraz po myśli zasad sprawiedliwości dla narodów, musi wejść w całości w skład niepodległego państwa polskiego.

2) Obywatele miasta Lwowa protestują przeciwko zmierzającej do wywłaszczenia polskiej ziemi na rzecz ruskich chłopów agitacyi ukraińskiej.

3) Obywatele miasta Lwowa zanoszą przed forum całego cywilizowanego świata uroczysty protest przeciw gwałtom, rabunkom i mordom, dokonywanym na Polakach, zamieszkałych w kresowych ziemiach dawnej Rzpltej, będących obecnie w posiadaniu Rosyi, wzglednie republiki ukraińskiej, za co pełną odpowiedzialność poniesć musi obecny rząd ukraiński i rosyjski. Zebrani obywatele nie wątpią, że kompetentne czynniki, biorące udział w rokowaniach w Brześciu, zaprotestują u reprezentantów Rosyi i Ukrainy przeciw tym gwałtom i zażądają zadośćuczynienia dla gnębionego elementu polskiego.

Czwarty punkt rezolucyi wzywa do skcyi w celu zebrania analogicznych uchwał i protestów reprezentacyi miast i powiatów całej Galicyi dla przesłania ich następnie Kołu polskiemu, ministerstwu spraw zagranicznych i ministerstwu dla Galicyi w Wiedniu.

Rekwizycye w Królestwie Polskiem.

Na posiedzeniu komisyi budżetowej Sejmu pruskiego, podczas dyskusyi nad przyszłym pokojem z Rosyą, zabrał głos imieniem Koła polskiego p. Trąmpczyński, który pomiędzy innemi oświadczył:

Jest rzeczą słuszną, ażeby w traktacie pokojowym, każda ze stron wojujących przejęła obowiązek płacenia własnych rekwizycyi, bo przez nie zostsła wzbogacona kosztem osób prywatnych. Jeżeli dziś proponują obustronne zrzeczenie się tych pretensyi, to Rosya może śmiało na to przystać, bo prawie żaden Rosyanin nie został dotknięty rekwizycyami niemieckiemi, ale sami Polacy i Litwini. Jeżeli rząd niemiecki ma, jak twierdzi i tak zamiar zapłacić za swe rekwizycye, to lepiej będzie, jeżeli w traktacie umieszczony będzie obowiązek ich zapłacenia, bo w takim razie Rosya także będzie musiała część rekwizycyi zapłacić. Jeżeli zaś będzie umówione zrzeczenie się wzajemne pretensyi do wynagrodzenia, to poszkodowani tylko z łaski cośkolwiek będą mogli otrzymać.

A trzeba przyznać, że bardzo znaczna część rekwizycyi w obecnej wojnie była niesłychanem naruszeniem prawa międzynarodowego. Wedle teroż prawa, mianowicie wedle przepisów konwencyi haskiej, rekwizycye dozwolone są tylko, o ile dotyczą przedmiotów, potrzebnych dla armii okupacyjnej. Tym zasem w Królestwie Polskiem i na Litwie zabierano wszystko.

Na zarzut mówcy, iż przecież n. p. bielizna dla kobiet i dzieci, lub jedwabne wstążki, zabierane w Łodzi, nie należą do potrzeb armii, odpowiadano w urzędach, że te przedmioty potrzebne są dla żon i dzieci robotników w fabrykach amunicyi. A gdy fabrykanci łódzcy, żądający w Berlinie odszkodowania za zabrane im przedmioty, odwoływali się na zasady prawa międzynarodowego, odpowiedziano im, że prawo winni pozostawić razem z parasolami za drzwiami! Jeżeli w traktacie pokojowym kwestya ta nie zostanie uregulowaną, to poszkodowani mogą się takich odpowiedzi dzisiaj cześciej spodziewać.

Poseł Korfanty o pruskim systemie.

Na posiedzeniu komisyi Sejmu pruskiego dla reformy wyborczej poseł Korfanty wygłosił następującą mowę, którą tutaj podajemy w streszczeniu:

P. Osten uznaje tylko prawa uciemiężonych narodów w Irlandyi lub Egipcie. U siebie w domu powiada, że niezgodnem byłoby z niemieckim charakterem tego państwa, gdyby w Izbie poselskiej zasiadało według obliczeń jego, 35 posłów polskich.

Państwo to nie jest czysto niemieckiem, bo Polacy stanowią w niem 10 proc. ludności. A my, Polacy, nie wcisnęliśmy się gwałtem do tego państwa ale wcielono nas do niego przez gwałt, jakiego nie znają dzieje ludzkości. Oddajemy temu państwu na równi z niemieckimi współobywatelami daninę z mienia i krwi żądamy wobec tego także zupełnego równouprawnienia. Jeśliby p. Ostena bolały oczy, gdyby w tej Izbie zasiadało 35 posłów polskich i jeśli jej pragnie nadać charakter ściśle narodowo niemiecki, to musi usunąć także podstawy obecnego stanu rzeczy, a więc albo dzielnice polskie wyłączyć z tego państwa, albo nadać im tak obszerną autonomię, żeby zastępstwa w tej Izbie nie potrzebowały. Ale zdaje sie, że p. Osten chciałby mieć jak największą liczbę Polaków — partya jego pragnie zaborów na wschodzie — ale Polaków bez praw politycznych, a najwięcej Polaków pragnąłby na swych folwarkach ale w roli niewolników. Wywody p. Ostena stanowią dokładną ilustracyę do proklamowanego przez kanclerza prawa samostanowienia narodów i do zapowiedzi delegatów niemieckich, że prawa mniejszości narodów uregulują sprawiedliwie na drodze konstytucyjnej. Zajmujemy się zmianą konstytucyi i teraz, gdy jest sposobność do ziszczenia tych zapowiedzi, p. Osten i jego przyjaciele żądają dalszego ucisku mniejszości narodowych. Ale jesteśmy mocno przekonani, że są to głosy ludzi przeszłości, bo po tej wojnie nie może być mowy o deptaniu praw mniejszości. Winienem był jednak podnieść protest przeciwko dążeniu p. Ostena i jego towarzyszy.

Kronika tygodniowa.

W starożytnym Rzymie, prawie dwa tysiące lat temu, więc w czasach, których nawet najstarsi z pośród nas nie pamiętają, odzywały się niejednokrotnie na ulicach miasta okrzyki „*panem et circenses*“. Dziś stosunki w świecie się zmieniły przynajmniej o tyle, iż woła się wprawdzie o chleb, miejsce zaś igrzysk zajęła sprawa pokoju, po prawie już cztery lata trwającej wojnie.

Wołamy więc na różne głosy: „Chleba i pokoju“, ale, jak dotąd przynajmniej, głos nasz jest tylko głosem wołającego na pustyni.

Że wojna już się nam przejadła i, jak to powiadają, wyłazi nam już bokiem i dziurami na łokciach, o tem nie ma dwu zdań, niechaj nikt się więc nie dziwi, że i kronikarz, wychodząc z tego samego punktu widzenia, co i reszta jego towarzyszów niedoli podnosi ten sam okrzyk, pierwszeństwo oddając naturalnie codziennemu chlebowi, o który łatwiej się postarać niż o pokój. Czyni to zaś i dlatego, ponieważ chleb jest niezbędnym dla każdego śmiertelnika artykułem spożywczym, bez którego obejść się trudno, by zaspokoić głód, uznany już przez starożytnych filozofów, uchodzących przeważnie za bardzo mądrych ludzi, za złego doradcę. Zdrowy duch mieszka w zdrowem ciele, a ciało wtedy jest zdrowe, jeśli sobie należycie podjadło, chleb zaś właśnie jest tym artykułem, który w tak ciężkich zwłaszcza, jak obecne, czasach najważniejszą odgrywa przy tem rolę. Brak chleba może mieć i nawet musi mieć bardzo przykre następstwa, o czem powinni pamiętać ci, którzy nami kierują.

Wymyślono wprawdzie między innemi i tak zwaną Centralę obrotu zbożem, mającą za zadanie równomierne zaopatrzenie ludności w zboże, raczej mąkę, pokazuje się przecież, że jest to maszyna bardzo źle funkcyonująca, wydająca ze siebie tylko nieprzyjemne zgrzyty, zwłaszcza, że kierownictwo objęli ludzie, nie mający widocznie nawet pojęcia o tem, do czego ich powołano. Sprawę tak ważną z pożytkiem dla obu stron, to jest państwa, mającego dbać o dobro jednostek, jego pieczy powierzonych, jakoteż ogółu, chcącego żyć, więc muszącego jeść, powinno się traktować po obywatelsku, a nie według jakichś tam biurokratycznych teoryi, nie znajdujących praktycznego zastosowania i wywołujących tylko niepotrzebny rozdźwięk.

Należałoby się było spodziewać, że Galicya, jako kraj wybitnie rolniczy, powinna produkować tyle zboża, by go bodaj na jej własne potrzeby wystarczyło, ale też z drugiej strony powinno się było pamiętać, że kraj ten przez wojnę najwięcej ucierpiał, więc też zasługuje na najdalej idące uwzględnienie i bo nigdzie może nie okazuje się, z powodu wojny, taki brak rąk do pracy i innych niezbędnych do niej warunków, co właśnie tutaj.

Tymczasem panowie przy zielonym stoliku o pierwszym punkcie pamiętali, o drugim zaś zapomnieli lub nie chcieli wiedzieć, więc orzekli, że Galicya powinna zaspokoić nie tylko swe własne potrzeby, ale zadośćuczynić i wymaganiom sąsiadów, tak, jak to było dawniej, w owych lepszych czasach, kiedy o wojnie nikomu się ani nie śniło. Przeprowadzano też rekwizycye u nas z daleko większą ścisłością, niż gdzieindziej, trzymając się ściśle tego, co na ślepo, nie licząc się ze stosunkami i widocznie nie znając ich nawet, uchwalono w teoryi. Tyle być powinno i tyle też być musi — oto zasada, którą się przy tem kierowano. Pozatem dopuszczano do współpracownictwa, w roli pośredników, różne osobniki, które przy tym ogniu chciały przedewszystkiem upiec pieczeń dla siebie. Czego nie zdziałali niefachowi kierownicy, tego dokonali pośrednicy, kierujący się nie sumieniem, ale jedynie własnym interesem.

Wedle owych teoretycznych obliczeń ustalono też cenę za zboże, w obecnych warunkach tak śmiesznie niską, iż producent, chcąc swój przydział na rzecz ogółu sumiennie Centrali dostarczyć, musi dołożyć z własnej kieszeni. I nie można się też wobec tego dziwić, że ten i ów rolnik część zapasów chowa na czarną godzinę, by nie być potem zmuszonym, gdy sam się znajdzie w potrzebie, kupować to, za co zapłacono mu, dajmy na to, po czterdzieści koron za cetnar metryczny, po cenie cztero, a nawet pięciokrotnej. Tem tłumaczyć się musi narzekania, że producenci galicyjscy ociągają się z odstawą przydzielonego im kontyngentu, który bardzo ładnie wygląda, ale tylko w teoryi i na papierze, a nie w rzeczywistości.

Przypuśćmy jednak, że każdy producent wywiązał się należycie ze swego zadania i że panowie pośrednicy żadnego na tem nie zrobili interesu. Zboże dostało się do magazynów Centrali i nie uległo tam zepsuciu, ale rozdzielone zostało, jak było zaznaczone „równomiernie“ między ogół. Należałoby się więc spodziewać, że Galicya będzie na równi z innemi uwzględnioną, zwłaszcza zaś miasta, jako wielkie środowiska ludności, nie mogącej żyć z własnej rolnej produkcyi, od której stoją daleko, zmuszonej przecież w jakiś sposób głód swój zaspokoić. Dzieje się przecież inaczej. Galicyjskie zboże jedzie poza granice, na zaspokojenie potrzeb innych krajów koronnych i nieraz się zdarza, że dopiero stamtąd, gdy tu u nas już bieda, jak to mówią „aż trzeszczy“ wraca z powrotem skąd wyszło. Ile zaś w międzyczasie zepsuje się papieru na różne wyjaśnienia, przypomnienia i tym podobne urzędowe „kawałki“, o tem zwykły śmiertelnik nie ma nawet pojęcia. A papier teraz przecież taki drogi!

Centrala więc zbożowa ponosi głównie i jedynie winę iż rozdział zboża i mąki jest w samej rzeczy nierównomierny, co jest jasnym dowodem, że nie odpowiada przeznaczeniu i wobec tego nie ma racyi bytu. Gdyby dozwolony był wolny obrót zbożem, z pewnością byłoby daleko lepiej, nie byłoby pokątnej sprzedaży i ceny nie dochodziłyby do takiego, jak obecnie absurdu. Ponadto, ponieważ koszula bliższą jest ciała, niż naprzykład kamizelka, powinno się przedewszystkiem myśleć o zaspokojeniu własnych potrzeb, a dopiero istotną nadwyżkę wywozić między obcych, czyli, że dla obrotu zbożem granice każdego kraju powinny być do pewnego stopnia zamknięte.

Jak z powyższego wynika, nasza władza aprowizacyjna, a tą jest magistrat, będąc zdaną na łaskę i niełaskę Centrali, winy w tym kierunku nie ponosi, chyba tylko o tyle, że nie umie, czy nie chce upomnieć się w swoim czasie o to, co się nam należy. Takie, jak obecnie, życie z dnia na dzień, gdy raz „kapnie“ nam jeden, raz znów dwa wagony mąki, to nie życie, ale marna wegetacya, a obietnice, że „taki a taki kontyngent mąki jest już w drodze“, nie wystarczą, zwłaszcza, że nieraz się już zdarzało, że „przez pomyłkę“ cały transport zajechał zupełnie gdzieindziej. Inni jedli, a my lizaliśmy tymczasem łapę, czekając na lepsze czasy i kontentując się na razie kartkami chlebowo mącznemi.

Przyjmijmy jednak, że Centrala funkcyonuje bez zarzutu i dostarcza dla Krakowa mąki, wprawdzie nie w zbytniej obfitości, ale w ilości takiej, jaka jest koniecznie potrzebną dla zaspokojenia apetytów ludności. Mąka nadesza, magistrat rozdzielił ją sumiennie między piekarzy. Cóż się jednak dzieje?... Niektórzy z nich zużywają rzeczywiście cały przydział na wypiek chleba, jak się należy, nie brak przecież takich, którzy część chowają na „czarną godzinę“, to jest w tym celu, by potem sprzedać pokątnie mąkę po wyśrubowanych cenach, lub też w ten sam sposób wypiekają białe bułeczki i pozbywają je po siedmdziesiąt i ośmdziesiąt halerzy za sztukę. Ludzi o wybrednym smaku jest dość, nie żałują też pieniędzy, by sprawić przyjemność swemu podniebieniu, ale na tem cierpi ogół, nie mogący sobie na taki zbytek pozwolić, a ukrócony właśnie o tę ilość, którą tamci zjedli z takim apetytem. Powiada się wprawdzie, że te białe bułeczki wypieka się z mąki, nadchodzącej z Królestwa Polskiego, nie jest tak przecież w rzeczywistości.

Co wszystko razem i każde z osobna, punkt po punkcie rozważywszy, musimy przyznać, że mają racyę ci, którzy upominają się o chleb codzienny, nie dzieje się bowiem tak, jak się dziać powinno. Ci zaś, którzy powołani są do tego, by w tym kierunku przestrzegać porządku, niechaj dołożą starań, by złemu zaradzić, a wszystko będzie jak się patrzy. Jeśli chleba będzie dość, przynajmniej zaś tyle, ile go potrzeba, jakoś łatwiej zniesie się inne braki

Upominanie się o to, co się nam należy, jest wskazane, nie uważam jednak za stosowne łączenie go z bicem szyb, gdyż to tylko napędza szklarzom pieniądze do kieszeni, a wytwarza coraz cięższą atmosferę!

Obok Centrali zbożowej istnieją też i jej siostrzyczki: Centrala dla obrotu bydłem i Centrala dla rozdziału paszy, zostające ze sobą w najściślejszym związku, jak bowiem zapewne każdemu wiadomo i bydło także jeść musi, jeśli zaś nie dostanie, zdycha poprostu z głodu. Te dwie Centrale fungują widocznie także nienależycie, skoro Kraków, równocześnie z brakiem chleba, znalazł się w tem miłem położeniu, iż brakło mu mięsa i tłuszczów. Temu ostatniemu brakowi starano się zaradzić i w ostatnim tygodniu, zamiast części należnej mąki, wydawano świeczki ale... niefowe. Gdyby to były bodaj starodawne łojówki, możnaby ich od biedy użyć do omasty...

Do kwestyi mięsnej powrócę w swoim czasie, na razie zaznaczam, że z chwilą wejścia w życie nowej taryfy maksymalnej, według której ceny mięsa i tłuszczów poszły w górę, stosunki się poprawiły i kogo stać na to, może się bawić w mięsożercę. Zapas bydła galicyjskiego, z którem dzieje się tak samo, jak ze zbożem, nie wystarczy jednak podobno na długo, wobec czego należy być przygotowanym na wcześniejsze nawet rozpoczęcie się wielkiego postu niż to zapowiada kalendarz.

Obecnie mamy karnawał, ale nikt go nie czuje, chyba tylko o tyle, że zwalił się na nas w samej rzeczy kar nawał i to, zdaje się, nie tylko za winy już popełnione, ale także i za te, które dopiero mamy zamiar popełnić. Z powodu mankamentów mączno-tłuszczowych o pączkach nikt nawet nie myśli, odpadły też wszelakie zabawy z tańcami i bez nich, bo komuż to dziś w głowie?... Kontent człowiek, że żyje i prosi Boga, by nie było jeszcze gorzej, niż obecnie.

Gdyby żyła bodaj pani de Thebes, byłby się w tym czasie pojawił jej kalendarz z przepowiedniami, czego się można spodziewać, co jednak niekoniecznie musi się spełnić. Niestety, nie zostawiła jasnowidzącej spadkobierczyni. Nie odzywa się też żadna babka ze Śląska, choć już raz, przed laty, w błąd nas wprowadziła, nie odzywają się, jak na złość, także in i, choćby nawet „krajowego wyrobu“ prorocy, wobec czego jesteśmy, niczem tabaka w rogu i w żaden sposób nie możemy powiedzieć, kiedy się to wszystko skończy, czyli, kiedy będziemy mogli mówić już na seryo o pokoju, który ma być tematem drugiej części niniejszej kroniki.

O pokoju mówi się zaś i pisze coraz głośniej i energiczniej, choć z drugiej znów strony przyznać należy, że manifestacya pokojowa, urządzona w Krakowie w ubiegłą niedzielę, wypadła bardzo słabo. Jeżeli w mieście naszem tylu jest tylko i w tym wieku zwolenników pokoju, jak ta gromadka, która się wówczas, zamiast pójść na tradycyjne flaki, zebrała na krakowskim rynku, to widoczne, że wojna nie dała się nam dotąd zbytnio we znaki, więc może jeszcze trwać, choćby nawet tak długo, jak sobie tego życzą Anglicy i Amerykanie.

Rozmawiałem o tem z jednym znanym obywatelem z południowych dzielnic Krakowa i wyraziłem zdziwienie, że współwyznawców jego tak mało wówczas wzięło udział w zgromadzeniu i pochodzie.

Pogładził brodę, poprawił kapelusz i rzekł:

— Co ja mam z tego, mój panie, jeżeli się wojna skończy rychło? Co ja wówczas zrobię z mymi towarami?... Pan wie chyba, bo pisał pan o tem, jak one spadają w cenie na łeb i na szyję, ilekroć się tylko zacznie mówić na seryo o pokoju.

Musiałem mu przyznać racyę, stawiając się w położeniu owego nowoczesnego Józefa, który idąc w ślady swego współwyznawcy, magazynował towary, by potem spichrze otworzyć dla tych, którzy lepiej zapłacą. Ów biblijny Józef gromadził tylko zboże, by Egipcyan uchronić od głodowej śmierci i to mu się najzupełniej udało. Obsypał go też Faraon zaszczytami, zamianował nawet radcą, a pani Putyfarowa darzyła go swymi względami. Jego następcy i naśladowcy o zaszczyty bynajmniej nie dbają, względami płci nadobnej (choć, co prawda, nie wszyscy!...) gardzą, pamiętając tylko o swej kieszeni i interesie.

To też słowa jenerała Hoffmanna, wypowiedziane w Brześciu Litewskim, lepiej na nich podziałały, niż na niejednego ciężko chorego zimne krople Hoffmanna, zwiastują bowiem nie zbliżający się pokój, ale dalsze trwanie wojny.

Pacyfiści natomiast są innego zdania. Wynurzenia pana jenerała nazywają poprostu "opowieściami Hoffmanna" i dodają:

— Niech on sobie mówi, co mu się żywnie podoba, a pokój musi być i to zaraz!

Czy spełnią się nadzieje jednych, czy drugich, tego przewidzieć dziś nie można, zwłaszcza, że wiadomości nadchodzące z Brześcia, są i skąpe i bardzo niejasne.

To ważniejsze, czy przy tym ogniu upiecze się dla nas pieczeń, czy też nie. Różni ludzie różnie mówią, większość wychodzi z tego założenia, że kucharz, który się tą sprawą z naszej strony zająć powinien, nie wywiąże się w sposób należyty ze swego zadania. Zdolności jego kulinarno polityczne pozostawiają wiele do życzenia, gdyż wiadomo, że zabrał się do warzenia rosołu "bez selera", a taki, jak to przyzna każda gospodyni, jest mdły i bez smaku.

Dałbym wiele, by już dziś wiedzieć, czy z owej spodziewanej pieczeni nie zostanie dla nas sama jedno kość, bo to na Litwę ma kto i iny apetyt, Galicyę z wyjątkiem Oświęcimskiego i Zatorskiego, obiecano Ukrainie a część Królestwa Polskiego ma być podobno koniecznie potrzebną celem "gospodarczego zabezpieczenia Prus"... Co razem wziąwszy, dochodzimy do wniosku, że w rezultacie dostanie nam się figa. Owoc ten jest dziś rzadkością, trzeba więc i z tego się cieszyć, jeśli nam ona bodaj przypadnie w udziale. Tyle już zebraliśmy fig różnego rodzaju, że jedna mniej lub więcej nie powinna zupełnie zrobić różnicy.

Zresztą, kto to może dziś wiedzieć, co będzie jutro, za tydzień, miesiąc lub rok?... Teraz dzieją się przecież rzeczy, o których nawet i filozofom się nie śniło, wobec czego, nie chcąc być fałszywym prorokiem, wolę nie uprzedzać wypadków.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył St. Winter, Tarnów.

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą to, czem się dziś każdy nadzwyczaj interesuje

—nra
—woc
—ara
—gor
—awa
—bis
—adź
—gat
—ara
—ata
—bol
—ama
—bro
—ewa
—ici
—ork

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył E Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -i--o, -a----o-ie.
2) -e-a--ię--o, -o-e--ę--ie-ię-e-

Grzebieniówka.

Ułożył E Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię zmarłego niedawno polskiego literata i publicysty.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak z rodziny pływaków 2 Miasto w Rumunii 3 Rzeka na Litwie. 4 Inaczej alkohol. 5. Miasto w Rosyi 6 Zwierzę ssące z rodziny torbaczy. 7. Malarz flamandzki 8 Składowa część armaty.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Przepolski, Kraków

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Rwię wota i chama. Si. S

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko słynnego malarza i rytownika polskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Miasto w starożytnej Italii 3 Miasto w Królestwie Polskiem 4 Ferment słodowy 5. Dawna broń myśliwska 6 Choroba zakaźna u zwierząt 7 Miejscowość, pamiętna zwycięstwem Napoleona 8 Malarz holenderski z XV. wieku. 9 Drzewo szpilkowe 10 Przyimek 11. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kat żyje i śmieci. Karć! A. E.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko znanego węgierskiego powieściopisarza.

— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: Imię rzymskie 2 Odnadki drzewne. 3 Część czasowki 4 Ćwiczenia wojskowe 5 Miasto w Szwajcaryi 6 Przyrząd optyczny 7 Pałac królewski na Węgrzech (miejscowość) 8 Zdrojowisko w Hessen Nassau. 9 Pierwsza litera imienia i nazwisko słynnego włoskiego polityka 10 Nauka zręczności w pracy ręcznej. 11 Zabieg leczniczy

Szarada.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Druga i pierwsza jest w Galicyi rzeką,
Co na wschod od Krakowa płynie niedaleko
Drugie i trzecie żołnierz cierpliwie znieść umie,
Całość, znane zwierzęta Lubią chodzić w tłumie

Bilety wizytowe.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

A TULOSKI

STAN LITORA.

A. PLANEK.

B. ZALCHAR

IWAN K MIGŁYN.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *E. Żmijewskiej:* **Książę pan.** Nowele

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Łamigłówka:

Koń
oko
Nil
iwa
era
wal
wir
uda
Jan
nos
yak

Okienko:

B r e t n a l
r a e
e k p
t a k t y k a
n y n
a k t
l e p a n t o

Zadanie do przestawiania: Komu głód kumą, temu torba matka.

Logogryf:

K
c n r
k r z e m
p a p i l o t
J e r e m i a s z
w a n i l i a
k r z a s ł o
B l e r i o t
M a r z a n a
p i e c z e ń
k u c h a r z
k a l o r y a
V e r d i e r
K a s z m i r
R o ż n i e c k i
o p o ń c z a
M o s e r
a k r
l

Logogryf Prus Bolesław.

Zadanie do przestawienia Kto na drugich kładzie znaki, sam taki.

Zadanie do uzupełnienia: Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię

Bilety wizytowe: Fryzyer. Zakonnik Lokaj. Samarytanka Mechanik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków. D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków. H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków. M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina. J. Krawecki Wadowice. W. Potocka Kraków. D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków. S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń. J. Cegielski Poznań, W. Mireckі Lwów, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt. J. Broda Mor, Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S Kamocki Przemyśl. J. Topolnicki Lwów, E. Bogdalska Korotnuż, J Podolski Stare Sioło, J Załęski Lwów, M. Czyżewi z Warszawa, K. Majewski Przemyśl, L Roth Tarnów, S. Głowacki Stanisławów, L. Reich Lwów, K. Opolski Kraków, J Ogrodnik Lwów, K. Oślizło Brandenburg, Z Reiser Wadowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **S. Osadowska, Rzeczyca.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Celem podjęcia jednolitej akcyi zapomogowej u c. k. Rządu, zaś z drugiej strony aby poznać, jakie straty poniósł nasz zawód z powodu wojny, nadto, aby rozwinąć działalność nad podniesieniem stanu krawieckiego, odbędzie się w dniach 2 i 3 lutego 1918 **krajowy wiec majstrów krawieckich i krawczyń** w Krakowie w Izbie rękodzielniczej, przy ulicy Potockiego 18, o godzinie 10 rano, na który prosimy uprzejmie o przysłanie delegatów i delegatek

Porządek obrad: 1. Zagajenie wiecu. 2. Wybór prezydyum wiecu. 3. Sprawozdanie komitetu gospodarczego. 4. Referat o przemysłowem położeniu krawieckiem 5. Referat o akcyi zapomogowej dla krawców. 6. Wybór krajowego komitetu gospodarczego. 7. Wnioski. 8. Wspólny opłatek kolężański.

Komitet prosi cechy oraz organizacye krawieckie w kraju o wczesne nadsyłanie sprawozdań, zwłaszcza delegatów, referatów i wniosków tak, aby można na czas ułożyć dokładny porządek obrad.

Obrady rozpoczną się wysłuchaniem mszy św o godzinie 9 rano w kościele N. P. Maryi przed obrazem patrona krawieckiego, św. Homobona.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego